POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 3-go czerwca 1944r.* **Rok VI. Nr. 22**

"WOLA RZECZYWISTEJ SIŁY"

Przypadek zrządził, iż ostatnio, w krótkich odstępach czasu, przybyło na teren Wysp Brytyjskich kilku przedstawicieli Kraju. Są to ludzie bardzo rozmaitego autoramentu: oficerowie Armii Krajowej, politycy różnych odcieni, przedstawiciele podziemnej administracji państwowej, emisariusze, którzy dokonali zaiste niebezpiecznej, jakby dantejskiej podróży z ziemi do piekła—z tych wysp na kontynent—i z powrotem. Ci przybysze znają odczucia Kraju w głębokim, nieraz najgłębszym nacięciu, ich wiedza faktów jest zdobyta własnym ryzykiem w rozmaitych kręgach doświadczenia, w rozmaitych przekrojach życia pod okupacją. Są wśród nich tacy, którzy brali czynny udział w walkach Bezimiennej Armii Polskiej, są tacy, którzy mieli możność oglądać od spodu rozgałęzione, wszechogarniające działanie mechanizmu Państwa Podziemnego. Wszyscy rozmawiali z ludźmi tamtego świata, patrzyli im w oczy, oddychali tym samym, co oni powietrzem nieustającej grozy i nieustającej walki.

W stosunku do nas—emigracji wojskowej i cywilnej—wszyscy oni wysuwają na plan pierwszy jedno żądanie. Żądanie zgody, solidarności, spoistości wewnętrznej. To odczuwają jako zasadniczą konieczność, od której zależy spełnienie zadań, ciążących na emigracji, spełnienie pokładanych w niej przez Kraj nadziei.

Kraj oczekuje od was—mówią—jak najlepszej reprezentacji naszych spraw, jak najbardziej skutecznej i stanowczej obrony interesów zbiorowych, Kraj spodziewa się po was jak największego dorobku umysłowego, politycznego, moralnego, dorobku w zakresie wiedzy faktów, idei, zdobyczy naukowych, instytucji życia zbiorowego, a także dorobku w zakresie stosunków, powiązań, porozumień trwałych i celowych, społecznie pożytecznych. Ale Kraj żąda od was przede wszystkim całkowitego zjednoczenia, bo rozumie, że spełnienie wszystkich tamtych przeznączeń jest niemożliwe bez spełnienia tego wstępnego warunku.

Ludzie stamtąd przytaczają na rzecz nakazu zgody jeden zasadniczy argument: Kraj spełnił to, czego żąda od was. Mimo potwornych trudności organizowania życia społecznego, mimo powodowanego przez konspirację i często przez nią nakazywanego rozbicia na drobne komórki, bytujące niezależnie od siebie—Kraj jest zjednoczony, stanowi jeden blok, jeden masyw. Przez cztery lata wojny, okrutnego prześladowania, niezłamanego oporu, solidarność stała się obowiązującą postawą i stała się stanem dojrzałej świadomości. Każdy Polak, a już bezspornie każdy Polak zorganizowany, objęty siecią tajnego działania, stawia odruchowo, automatycznie, instynktownie interes ogólny ponad interes osobisty i prywatny. Główne organy społecznej i politycznej świadomości narodu dały przed rokiem publiczny i uroczysty wyraz woli solidarnego współdziałania, podporządkowały swoje doktrynalne punkty widzenia, swoje partykularne interesy—sprawie jednej i powszechnej.

Bratni nam organ żołnierzy armii podziemnej "Wiadomości Polskie" pisał 8-go września ub.r. o tej deklaracji porozumienia w taki oto sposób:

"*Zespolenie stronnictw nastąpiło nie na martwym punkcie zaniechania wszelkiej działalności, aby nie drażnić się wzajemnie, lecz na podstawie żywej platformy programowej, obejmującej poparcie Armii Krajowej, uzgodnienie współpracy organów cywilnych i wojskowych, ujednostajnienie polityki zagranicznej i wewnętrznej.*"

Inne pismo tajne "Orka" stwierdzało w tym samym czasie, że akt porozumienia obowiązuje także emigrację:

"*Stronnictwa zobowiązują się do wzajemnej współpracy, przynajmniej do czasu ogłoszenia pierwszych wyborów w niepodległej Polsce i deklarują między sobą "treuga dei" /t.j. "Pokój Boży", zawieszenie wszelkich walk/ apelując równocześnie do emigracji, by zrobiła to samo, t.zn., by zawiesiła na kołku spory, które odbijały się bardzo nieprzyjemnym echem w Kraju. Te cztery stronnictwa już dawno przestały wojować między sobą. My tu w kraju przeszliśmy jednak dodatnią ewolucję w czasie wojny: życie konspiracyjne zmusiło nas po prostu do bardziej rzeczowej dyskusji. Osoby znikły, nazwisk się nie wymienia, nie zna nawet, wobec czego polemika jest przedmiotowa. . .*"

Obserwacja naszego życia zbiorowego pozwala stwierdzić, że to wezwanie nie zostało przez emigrację spełnione, na pewno nie zostało spełnione całkowicie lub choćby w zadawalającej mierze. Żołnierz skazany na milczenie, patrzy nieraz ze zdumieniem i niepokojem, nieraz ze zgrozą i bólem na objawy rozbicia, niepowściągliwości, braku społecznej dyscypliny. Zdarzyło się przecież niedawno, że w nieprzytomnym zacietrzewieniu pewien polityk poddawał bezzasadnie w wątpliwość mandaty człowieka przeciwnych mu poglądów, że ksiądz publicznie wymyślał innemu księdzu, że rozgłośna krytyka popierała nie tezę polską—prawdziwą, ale tezę obcą—wrogą nam i nieprawdziwą, perfidnie obliczoną i cynicznie zmontowaną na naszą szkodę. Niezamieszany w spory, niepodlegający zaburzeniom równowagi, zamąceniom zmysłu rzeczywistości i hierarchii rzeczy—żołnierz sądzi te zjawiska ze swego punktu widzenia i chciałby ich zmiany.

Można zapytać czy żołnierz ma prawo do jednego i drugiego: czy ma prawo mieć sąd o otaczającym go życiu i pragnąć w nim zmian?

Wolno w czasie pokoju patrzeć na żołnierza z punktu widzenia malowniczości /zgodnie ze słowami staroświeckiej piosenki o "chłopcach malowanych"/ lub z punktu widzenia t.zw. "fasonu". Wolno uważać, że służba w szeregach jest "zawodem," "specjalizacją," lub "zaprawą." Bo w czasie wojny siła zbrojna jest nie tylko skomplikowanym zespołem specjalistów, ale jest także wartością polityczną i wartością moralną.

Mamy wszyscy w zbyt bliskim doświadczeniu wydźwięk krwawej bitwy o Cassino, aby żywić jakiekolwiek wątpliwości co do tego, że żołnierz bijący się, przelewający ofiarnie krew, że siła zbrojna zdolna do spełnienia swoich zadań jest wartością polityczną najwyższej klasy.

Na czym polega jej wartość moralna? Na tym, iż stanowi ona wzór, przykład i nakaz jedności. Nie ma pełnego życia, nie ma życia w ogóle bez spierających się dążeń, bez przeciwnych napięć. Ale jedność jest takim samym nakazem życia, jak ścieranie się przeciwieństw. Zawsze przeciwieństwa rozwiązują się w jedności. W społeczeństwach demokratycznych jest to dobrowolne podporządkowanie się mniejszości postanowieniom większości, w ustrojach totalnych jest to po prostu fizyczne i moralne ujarzmienie większości przez mniejszość. Ale jedność społecznej woli staje się nakazem nieodpartym w chwilach zagrożenia już nie mniejszej lub większej pełni życia, ale samej istoty, samej możliwości tego życia. W takich chwilach—w chwilach walki o istnienie zbiorowe—siła zbrojna stanowi wyraz tej jedności. Powtarzamy: stanowi wzór, przykład, ale i n a k a z jedności.

Dokładnie wyraża to cytat z prasy podziemnej, przytoczony na tych łamach z górą dwa lata temu:

"*Jedność narodowa skupiająca wszystkie moralne i materialne siły narodu do walki z wrogiem jest nakazem dzisiejszych dni. Istnienie stronnictw nie jest sprzeczne z postulatem jedności narodowej. Ale ich zdolność do wzajemnej ze sobą współpracy, zdolność do "zawieszenia broni" na terenie wewnętrznym, celem skupienia wszystkich sił do walki na froncie zewnętrznym — oto praktyczne sposoby wyrażenia jedności narodowej społeczeństwa demokratycznego*".

Z tego punktu widzenia wolno przypisać żołnierzowi prawo osądzania otaczającego życia i formułowania postulatów pod jego adresem. Są one proste: chcielibyśmy, aby emigracja nie rozeszła się z Krajem, chcielibyśmy, aby emigracja cywilna nie rozeszła się z emigracją wojskową. Oba te rozejścia mogłyby być zarodkiem tragedii zbiorowej. Łatwo zrozumieć dlaczego.

Kraj nie może spełnić pewnych zadań, które wymagają normalnych warunków życia, jawności działania, bezpośredniego, ciągłego kontaktu z kierownikami i opinią obozu narodów sprzymierzonych. Do tego potrzebuje emigracji. Bez niej wielka część jego ofiary mogłaby pójść na marne.

Siła zbrojna na obczyźnie, jak każda siła zbrojna, jest tylko zespołem obywatelskim, który pracę pokojową zamienił na rzemiosło wojenne, na walkę orężną. Wszelkie rozdziały, przeciwieństwa między nią a resztą społeczeństwa są zagrożeniem dzieła pokoju i życia w pokoju.

Ale nie tylko te możliwe, groźne perspektywy niosą w sobie nakaz jedności, kategoryczny imperatyw zgody. Zawiera się on przede wszystkim w ciężkiej koniunkturze, przez którą przechodzi sprawa polska. Ta koniunktura jest zła i nie należy oczekiwać, aby się szybko poprawiła. Stwierdzamy na każdym kroku działanie ukrytych sił sprzysiężonych przeciwko nam. Trzeźwość każe się liczyć z istnieniem wrogich mocy, jeszcze spętanych okolicznościami, które dojdą do głosu z końcem wojny i uderzą w nas z całym wezbranym impetem.

Jeśli już nic innego, to haniebna, bezmiernie cyniczna próba zaprzeczenia rzeczywistości polskiego ruchu podziemnego (po czterech latach walki, po setkach tysięcy ofiar!), to cała ostatnia, skoncertowana nagonka na polskie Siły Zbrojne, bezpośrednio wyprzedzająca Cassino, to cała konsekwentna akcja stawiania na nogi rządu marionetkowego — powinny stanowić przestrogę, jak ciężkie doświadczenia nas jeszcze czekają. Łatwo odczytać z tych wszystkich kroków, podkopów półtajnych, jak i z posunięć szeroko i hałaśliwie otrąbianych po świecie, że czyjeś działanie zdąża do rozsadzenia nas od wewnątrz, do rozbicia naszej spoistości. Jest to w tej wojnie bodaj jedna jedyna możliwość pogrążenia sprawy polskiej na dno. I wróg próbuje tej możliwości, będzie próbował ciągle, usilnie, wszystkimi sposobami.

Oczywiście życie w oddaleniu od Kraju, w ciągłym ostrzale inwektyw, w zamęcie zmieniających się koniunktur, oczywiście walka z przewagą i moralnym cynizmem przeciwnika — stanowią okoliczności usprawiedliwiające nas z wielu rzeczy, ale też i okoliczności nakazujące tym powszechniejszą mobilizację sił, tym ściślejsze współdziałanie wszystkich czynników, odpowiedzialnych za obraz i bieg spraw polskich na emigracji.

My żołnierze polscy w Wielkiej Brytanii pragnęlibyśmy, aby ta mobilizacja i to współdziałanie stały się rzeczywistością najpełniejszą i jak najprędzej. Zdajemy sobie sprawę, że będą one jednym z warunków naszego powodzenia, gdy wreszcie, może już niedługo, staniemy oko w oko z wrogiem, że będą one jednym z warunków pełnego zużytkowania naszego szczęścia żołnierskiego, jeśli je nam Bóg dać zechce, jak dał żołnierzom II Korpusu Polskiego pod Monte Cassino i Monte Cairo.

Żywimy głęboką pewność, iż w tym pragnieniu jesteśmy zgodni z Krajem. Niech mówi on sam przez swoje pisma, jeśli głos jego wysłanników nie może być słyszany przez wszystkich.

"*Kraj czeka na wielką licytację w ofiarnej służbie zasadom, a nie na pieniacze spory rozgrywane w staroszlacheckim stylu.*" ("Reforma" z 20-go października 1943.)

"*Wierzymy, że w momencie zwrotnym tej wojny, w szczególności w trudnym położeniu międzynarodowym Polski, wszystkie czynniki w narodzie — w kraju i na obczyźnie — zjednoczą się w jednolitym działaniu dla zwycięstwa naszych celów wojennych*". ("Gwardia Ludowa", listopad 1943.)

"*W obecnej sytuacji dowodem dobrze pojętego obowiązku i rozumu politycznego jest odsunąć na bok różnice, łagodzić tarcia, mniej pamiętać o tym, co dzieli, a mieć na uwadze przede wszystkim to, co istnieje wspólnego, co powinno łączyć, co musi jednoczyć . . .*" ("Przez walkę do zwycięstwa," październik 1943.)

"*Dla wrogów musimy mieć miecz, dla sprzymierzeńców politykę, dla siebie natomiast wspólną wolę utworzenia rzeczywistej siły*". ("Prawda Dnia" z 10-go stycznia 1944.)

Nie można wyrazić pragnienia mas żołnierskich prościej i mocniej. "Wspólna wola rzeczywistej siły." Te słowa są wyjęte z naszych serc.

ALEKSANDER JANOWSKI

ZDZISŁAW RUSZKOWSKI: *Atak na Cassino*



Szkic sytuacyjny

MARSZ NA RZYM

Postępy we Włoszech są powolne, ale stałe. Najtrudniej idzie z północnym "zawiasem" /*hinge*/ niemieckiej linii obrony, gdzie działają dywizje polskie, najłatwiej na południowym pobrzeżu od Terracina. W danej chwili toczą się walki o Velletri, które — jak o tym przekonuje rzut oka na mapę — jest bardzo doniosłym punktem obrony wroga. W dolinie Liri 8-a armia następuje na pięty cofającym się Niemcom. Monte Cairo padło i powiewa na nim sztandar polski, na innych szczytach w górach Lepini powiewają sztandary brytyjskie i francuskie. Cisterna została nareszcie opanowana po licznych i krwawych atakach.

Rozgłośnia Vichy, która służy do wysuwania pewnych niemieckich aluzyj, zapowiedziała, że "właściwie strata Rzymu będzie tylko sprawą prestiżu, ale nie wpłynie na istotny przebieg działań wojskowych". Pismo "*Voelkischer Beobachter*" wypowiedziało podobne zdanie i tłomaczyło czytelnikowi niemieckiemu, że napór brytyjsko-amerykański jest bardzo silny, że koncentracja czołgów jest znaczna i że olbrzymie nowe transporty minęły Gibraltar. W tych warunkach — wywodził "*V.B.*" — należy się liczyć z dalszym cofaniem się.

Angielskie oceny powiadają, że na południe od Rzymu było 19 dywizyj, przy czym jednak 7 z nich uległo w pierwszej fazie mniejszemu lub większemu zniszczeniu. 12 dywizyj to nie zawiele dla obrony frontu, który obecnie się przedłużył. Jeżeli zważyć ostatnie straty, to Kesselring może mieć do rozporządzenia niewiele ponad 10 zdatnych do walki wielkich jednostek.

Sprawozdawca wojskowy "*Daily Telegraphu*" przewiduje dalsze cofanie się Niemców, przy czym najbliższy ich "postój" mógłby wypaść — zdaniem generała Martina, sprawozdawcy pisma angielskiego — dopiero na północ od Florencji w paśmie apenińskim biegnącym przez nizinę. Nie znaczy to oczywiście, pisze gen. Martin, ażeby Niemcy zrezygnowali z walki. Przeciwnie, należy się liczyć z ostrymi bojami, przy czym wojska niemieckie będą stawiały opór w odosobnionych gniazdach bardzo długo, prowadząc typową "*rearguard action*". Strategia sojusznicza, wywodzi dalej gen. Martin, liczyła na to, że Niemcy we Włoszech przy silnym ataku alianckim nie będą się cofali na lepsze linie, ale że przyjmą starą hitlerowską zasadę bicia się do upadłego, w stylu Stalingradu czy Afryki Płn. Gen. Martin uważa, że ta zasada, "prawdziwie ośli upór", wygrała raz jeszcze we Włoszech. Armie niemieckie biły się na wielu odcinkach wtedy, gdy już nie warto było się bić, gdy linia cofała się, była porwana; rozkazy niemieckie były surowe, strategia nie-elastyczna. Alianci, powiada "*Daily Telegraph*", przewidzieli trafnie strategię, jaką obierze Hitler: jest to jego stara strategia i widocznie nie chce on jej zmieniać. Skoro jednak wniosek aliancki okazał się trafny, to generał Alexander chciałby teraz "przyszpilić" /*to pin down*/ największą ilość wojska niemieckiego, związać je w walce, nie dać mu się oderwać i zniszczyć maximum dywizyj "*beyond hope of recovery*" — tak, ażeby nie zdołały się zreorganizować.

Rozbiór generała Martina wydaje się szczególnie bystry i inteligentny i dlatego pozwoliłem sobie zacytować go w dłuższym streszczeniu. Wydaje się, że generał Martin — który niedawno bawił na froncie włoskim i zamieścił w tym czasie wielce życzliwy artykuł w "*Daily Telegraph*" o wojsku polskim we Włoszech — trafnie ocenia sytuację i dobrze podkreśla zasadnicze jej rysy.

Co do Rzymu, to korespondent "*Observera*" z dnia 28-go maja zaznacza, że zajęcie Wiecznego Miasta przysporzy aliantom nowych kłopotów: trzeba będzie nakarmić miasto, którego ludność silnie wzrosła /może dwukrotnie nawet/, trzeba będzie dokonać zmian w rządzie Badoglia, ażeby uczynić go bardziej reprezentacyjnym, oraz trzeba będzie ustalić stosunki Aliantów ze Stolicą świętą.

Nieraz już wspominaliśmy na tych łamach, że możliwość ogłoszenia Rzymu miastem otwartym i opuszczenia go przez Niemców, nie jest dalej wykluczona. Podobno w tej mierze zwarto już jakieś ciche porozumienie z Watykanem. Wszyscy ludzie kultury cieszyliby się, gdyby Wieczne Miasto mogło uniknąć losu Neapolu. Było by to ogromną tragedią dla Europy, gdyby Rzym miał dopiero teraz w wieku XX-ym paść ofiarą takiego zniszczenia, jak Cassino. Sprawozdawcy, którzy odwiedzali ruiny na Monte Cassino powiadają, że klasztor oparł się licznym najazdom, jego grube mury wytrzymały liczne oblężenia, ale rozpadły się od bomb. Mury Rzymu zniosły niejedno oblężenie, niejeden napad, łupieskie "*sacco*" — czyżby miały się rozlecieć od nowoczesnej broni?

W ALGIERZE

Generał de Gaulle ma odwiedzić niebawem Londyn wraz z zespołem swoich współpracowników. Mowa wygłoszona przez premiera brytyjskiego nie załatwiła dla de Gaulle'a i jego Komitetu Wyzwolenia wszystkich spraw, ale nie mniej posunęła wiele. Komitet nie jest jeszcze uznany za rząd Francji, ale będzie on tą władzą, z którą Sojusznicy w czasie wyzwalania Francji będą mieli do czynienia. Jaki rząd Francja wyłoni, powiada oświadczenie Churchilla, nie wiemy i dlatego nie możemy jeszcze udzielić formalnego uznania Komitetowi de Gaulle'a.

Jakkolwiek rzeczy się mają, trzeba przyznać, że de Gaulle wykazał wiele charakteru i że charakter ten — opłacił się. Przetrzymał on ciężkie chwile i poważne naciski. Dzisiaj stanowisko jego zostało poważnie wzmocnione, zarówno w samej Francji, jak i na zewnątrz. Nawet pisma francuskie, które dalej "kollaborują" z wrogiem, przyznają, że "degaulizm" jest silnym ruchem.

Faktem jest jednak, że sytuacja we Francji nie ze wszystkim jest pomyślna dla Aliantów. Doniesienia pism szwajcarskich, które zachowały piękną cechę bezstronności, powiadają, że jednak zniecierpliwienie we Francji jest duże, albowiem wojna nerwów i oczekiwanie ataku alianckiego trwa zbyt długo. Pisma szwajcarskie nie ukrywają również, że bombardowania lotnicze są przyjmowane z "mieszanymi uczuciami" i że zarówno we Francji, jak Belgii ludność cywilna cierpi bardzo. Listy biskupów belgijskich i francuskich dowodzą, iż rzeczywiście zagadnienie to należy pilnie raz jeszcze rozważyć. Straty w ludności cywilnej są może nieuniknione, ale nastroje ogółu są jednak czynnikiem militarnej wagi. Jak widzimy, sama czysta strategia nie istnieje w tej wojnie: musi być ona zawsze oparta na rozważeniu przesłanek politycznych, moralnych, psychologicznych. Było by rzeczą wskazaną, żeby Alianci raz jeszcze przemyśleli tę sprawę, albowiem — Francja jest sprawie alianckiej potrzebna.

Zwroty w odniesieniu do Francji, jakie znalazły się w mowie Churchilla i Edena, wywołują uczucie ulgi w umyśle każdego, kto mimo klęski Francji patrzył dalej i rozumiał, że jest ona koniecznością dla Europy — o ile ta nazwa ma w ogóle jeszcze coś znaczyć. Podnoszenie się Francji powita każdy rozsądny człowiek z najwyższą radością. Sprawa Francji to sprawa nas wszystkich. Odnowiona Francja, Francja ładu i siły — umiarkowanej siły, albowiem siła francuska nie będzie nigdy stała na służbie napaści: epoka ekspansji Francji skończyła się na Napoleonie — jest nadzieją nas wszystkich. Wysokie miejsce, jakie Churchill ofiarowuje Francji w zespole krajów Europy jest gestem bardzo na czasie. Możemy się spodziewać, że wszystkie t.zw. mniejsze kraje Europy wyjdą na tym dobrze.

SENS MÓW ANGLOSASKICH MĘŻÓW STANU

Mowy Churchilla, przedtem Smutsa, potem Edena, wynurzenia Cordell Hulla i Roosevelta noszą pewną wspólną cechę. Można by to określić jako wzrost poczucia siły i pewności siebie. Najczarniejszy okres bezwładu — sprzed pół roku — jest jakby poza nami. Sukcesy we Włoszech, nasilenie akcji lotniczej, przygotowania do inwazji Europy — wszystko to tworzy podłoże dla optymistycznego ujmowania rzeczy. W. Brytania i USA czują, że mają wiele do powiedzenia w świecie. Eden w przemówieniu w Izbie Gmin zaznacza, że Anglia nie zrezygnowała z niczego, nie skapitulowała na rzecz tych czy innych mocarstw, że wszystko w Europie jest płynne, że żadna strefa czy sfera wpływów nie została wytyczona, a gdyby nawet takie projekty Anglii przedstawiano, nie wyraziłaby ona na nie zgody.

Zarysy przyszłego świata są jeszcze mgliste, co do organizacji bezpieczeństwa w Europie nie wiele jeszcze wiemy, ale wydaje się, że jesteśmy świadkami pewnego nawrotu do dawniejszych wskazań, że idea szerszego sfederowania państw w jakiejś Radzie Europy zyskuje powoli na sile, że wyłączny klub *Big Three* /po odpadnięciu Chin drogą eliminacji — przez fakty/, nie wydaje się być tak pewny, jak jeszcze sześć miesięcy temu, że W. Brytania potrzebuje Europy i że musi się z nią liczyć. Eden odpowiadał propagandzie niemieckiej, jakoby "Anglia skapitulowała w Europie". Dobrze się stało, że podniósł tę sprawę, albowiem doniesienia neutralne dowodziły, że propaganda niemiecka nie pozostaje bez sukcesu w tej ofensywie i że prestiż brytyjski poważnie ucierpiał.

Jesteśmy zatem na pewnej drodze wstępującej w górę, depresja sprzed pół roku jest jakby za nami, punkt dolny braku pewności siebie i wahania został przezwyciężony. Życzymy Anglii, ażeby utrzymała ten marsz ku górze. Każde zdecydowane słowo Anglii zyskuje jej nowych przyjaciół na kontynencie. *Każda chwila słabości Anglii jest — jak to powiada znane a doskonałe ujęcie — "chwilą niebezpieczeństwa dla Europy".*

W przededniu inwazji musi się postawić na porządku dziennym sprawę politycznego opanowania Europy. Musi się powiedzieć Europie, czego się ma spodziewać? Jest to działanie strategii politycznej. Europa chciałaby wiedzieć, że będzie lepiej, że odbudowa skołatanego kontynentu nie będzie przerwana nowymi alarmami. *Pokój musi być tworzony powoli* — jak to sugerowali zarówno Churchill i Eden — *ale winniśmy znać pewne elementy, budulec tego pokoju. Sama rzeczywistość wykaże, że plany wsparcia pokoju na zrębach Big Three są niewystarczające, chyba że chce się przekreślić ten kontynent, który jednak się liczy — Europę.*

Londyn, dnia 28-ego maja 1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

19 maja: Oddziały polskie rozpoczęły walkę o Piedimonte.

—W nocy z 18/19 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie samoloty powróciły.

20 maja: Wojska amerykańskie zajęły Gaeta i Itri, a wojska francuskie San Oliva.

—Przeciwnatarcia niemieckie w rejonie Piedimonte i Corno zostały odparte przez oddziały polskie.

—Lotnictwo Sojusznicze atakowało z baz w Anglii ośrodki kolejowe, lotniska i inne cele wojskowe w Zachodniej Europie. W działaniach tych brały również udział polskie dywizjony myśliwskie.

—W nocy z 19/20 polski dywizjon bombowy atakował cele wojskowe w Orleanie. Tej samej nocy polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły z tych działań.

21 maja: Piąta Armia zajęła Fondi. Wojska polskie nacierają przez góry na północ od drogi głównej nr. 6.

—Zacięte walki oddziałów polskich w rejonie Corno.

—Lotnictwo Sojusznicze, m.in. polskie dywizjony myśliwskie, przeprowadziły ataki przeciwko kolejom niemieckim we Francji, Belgii, Holandii i północnych Niemczech. Były to działania zakrojone na największą podczas obecnej wojny skalę.

—Polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

22 maja: Niemcy rzucili odwody na Linię Hitlera. Oddziały polskie walczą koło drogi głównej nr. 6 i odpierają przeciwuderzenia nieprzyjaciela na zachodnim skraju Piedimonte. Polacy zdobyli wzgórze 2½ km. na płd.-wsch. od Monte Cairo.

—W nocy z 21/22 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Duisburg. W nalocie tym brał udział polski ciężki dywizjon bombowy. Wszystkie polskie załogi powróciły.

—W nocy z 21/22 polski lekki dywizjon bombowy wykonał zadania intruderskie. Tej samej nocy polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły z tych działań.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało Kilonię za dnia. Lotnictwo myśliwskie Sprzymierzonych atakowało cele wojskowe w krajach okupowanych.

23 maja: W nocy z 22/23 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Dortmund i Brunszwik. W nalocie na Dortmund brał udział polski ciężki dywizjon bombowy. Jedna załoga polska nie powróciła.

—Lotnictwo amerykańskie silnie bombardowało obiekty wojskowe we Francji i zachodnich Niemczech za dnia. Wyprawy te osłaniało ponad 1.000 myśliwców sojuszniczych.

—Wojska sojusznicze rozpoczęły ofensywę z przyczółka mostowego pod Anzio. Zacięte walki czołgów w rej. Aquino-Pontecorvo. Polacy odpierali ataki na Piedimonte. Niemcy wycofali się z Pico.

Nowości lotnicze

Dziś czołowe miejsce poświęcić należy wiadomości o ukonstytuowaniu się i pierwszym posiedzeniu polskiej Państwowej Rady Lotniczej.

Wyrażamy żywą radość z racji powstania Rady, o którą polskie sfery lotnicze walczyły tak długo. Szczególnie ważne jest utworzenie Państwowej Rady Lotniczej właśnie przy Prezydium Rady Ministrów, skutkiem czego uzyskuje ona od razu charakter organu nadrzędnego, koordynującego prace lotnicze wszystkich działów kierownictwa państwowego. Jesteśmy głęboko przekonani, że Rada w swoim obecnym, tak demokratycznym składzie, spełni wszystkie pokładane w niej nadzieje.

Na pewno będziemy niebawem świadkami interesujących dyskusji w łonie Rady na temat linii wytycznych naszej powojennej polityki lotniczej. W obecnej chwili bowiem w tych sprawach pozostajemy w tyle za innymi narodami. Każdy z krajów alianckich, może za wyjątkiem Rosji, wypowiedział się już jasno i wyraźnie, jak sobie swą politykę lotniczą wyobraża i planuje, a nawet niektóre rządy, jak n.p. holenderski, pozawierały doniosłe umowy międzynarodowe, które pozwolą im uczestniczyć w powojennej organizacji komunikacji lotniczej świata na bardzo poważnym miejscu.

Cały szereg ostatnich niezwykle doniosłych wydarzeń kieruje uwagę najwyższych czynników, jak i zainteresowanie opinii publicznej, na inne odcinki naszego życia państwowego. Z tego jednak nie wynika, by sprawa tak pilna, jak organizacja powojennego świata lotniczego straciła na swej aktualności. Może nawet przeciwnie, każdy dzień, każdy tydzień podnosi jej zasadnicze znaczenie, szczególnie dla całości naszej przyszłej polityki narodowej.

Rozważania na ten temat prowadzą w prostej drodze do wniosku, że należy jednak stworzyć lotniczą siłę wojenną międzynarodową, albo jak ją nazwano — ponadnarodową /*supra-national*/.

Nie wiemy, jak się potoczą wypadki, gdyż wiele /jeżeli nie wszystko/ zależeć będzie od sytuacji wojennej w chwili zawierania pokoju. Sądząc jednak z wypowiedzi wielu rządów, szczególnie zaś amerykańskich i brytyjskich mężów stanu, kwestie te są bolączką nie tylko jednego wspomnianego już stronnictwa politycznego Wielkiej Brytanii, lecz są zagadnieniem, rozpatrywanym w znacznie szerszej skali.

Z organizacją lotnictwa powojennego łączy się najściślej obronność każdego kraju. Wspominaliśmy niedawno, że tylko państwa wieloorganiczne, a więc ustroje federacyjne, pojęte na wielką skalę — mają szanse przetrwania każdej próby agresji. Poza tym jednak, jak się zdaje, wchodzimy w taki okres życia międzynarodowego, w którym sama możliwość i zdolność obrony przeciw atakowi nie będzie już wystarczała.

Zasadą bezpieczeństwa stanie się uniemożliwienie z góry komukolwiek, jakiejkolwiek agresji. To właśnie musi być celem polityki każdego narodu. Lecz osiągnąć to można jedynie drogą stałej czujności. Strażnikiem pokoju wszechświatowego będzie zaś lotnictwo, jedynie powołane i jedynie zdolne do wykonania tego wielkiego zadania na rozległych kontynentach i morzach.

Jak to będzie? W jaki sposób da się to uzyskać? Czy uzyskanie tego ideału jest w ogóle możliwe? Czy są już w narodach zalążki owej dobrej woli, o którą przecie chodzi, a na której spoczną podwaliny nowego, lepszego świata? Oto pytania zasadnicze, na które każdy naród, każde państwo będzie musiało odpowiedzieć w wielkim rachunku sumienia, który trzeba będzie zrobić, nim przystąpi się do pracy nad normalizacją zwichrowanego katastrofą wojenną życia społecznego.

Niezwykle ciekawym przejawem troski o przyszłe problemy lotnicze jest oświadczenie *Labour Party*, które ma być dyskutowane na dorocznym zjeździe tej partii w *Whitsun* /Zielone Święta/, a które dotyczy przyszłości lotnictwa zarówno cywilnego jak i wojskowego. Na tle organizacji tych dwu lotnictw autorzy oświadczenia rozważają kwestie życia międzynarodowego, związane z rozwojem lotnictwa wojennego i jego znaczenia.

W tym oświadczeniu pada także pytanie: "Czy jakiekolwiek życie cywilizowane w Europie będzie w ogóle możliwe, jeżeli Narody Zjednoczone nie będą posiadać dostatecznej siły, by skruszyć ośrodki produkcji wojennej narodów przepojonych duchem agresji?"

Niezliczona ilość typów samolotów, zarówno własnych jak i nieprzyjacielskich, nastręcza wiele trudności w ich rozpoznawaniu. Rozpoznawanie i kwalifikacja są konieczne ze względu na obronę i alarmowanie na czas ośrodków miejskich, czy też ośrodków przemysłowych, a także z wielu innych przyczyn. Chociaż istnieje wielka różnorodność typów, jednak bardzo mało różnią się one między sobą. Naturalnie każdy rozpozna z miejsca "Lightninga" — lecz prawie identycznie wygląda jeden z "Heinckli". "Mustang" na pierwszy rzut oka nie wiele różni się od "Messerschmidta", a "Thunderbolt" od "Focke Wulfa".

Trzeba bardzo wyrobionego oka, by je od razu rozróżnić. Obserwator na ziemi jeszcze od biedy ma czas i wiele pomocy takich czy innych, które pozwolą mu dojść do wniosku, czy to co warczy nad jego głową to własna, czy też niemiecka wyprawa i z czego się składa. Wiele pomaga dźwięk motoru. Lecz pilot w powietrzu, któremu w ułamku sekundy mignie przed oczami coś, co ma dwa skrzydła i ogon — ma wiele kłopotu z ustaleniem, czy cień co mignął, jest samolotem własnym, czy też cudzym?

W związku z tymi kłopotami lotniczymi, dla przykładu można dziś ujawnić pewne bardzo przykre sprawy, które miały miejsce w związku z atakiem Sprzymierzonych na Sycylię.

I tak pewnego dnia 23 samoloty transportowe z 400-oma ludźmi na pokładach, zostały nierozpoznane przez własną artylerię i bez litości zestrzelone. Narobiło to bardzo wiele hałasu i ostre monity poszły do baterii. W trzy dni potem znów dwadzieścia jeden /tylko o dwa mniej/ samolotów transportowych alianckich uległo takiemu samemu losowi.

Można też już dziś stwierdzić, że 30% /o ile nie więcej/ strat polskiego lotnictwa w kampani wrześniowej 1939 roku zapisać można na konto zestrzeleń przez własną artylerię — a to wskutek nierozpoznania typów samolotów przez własne oddziały.

Sprawy rozpoznawania typów, samolotów to wielka nauka, która rozwinęła się bardzo poważnie, ma swych specjalistów, swych instruktorów, swe szkoły wyższe i niższe a także bardzo wielu uczniów. W tej wiedzy muszą specjalizować się wszystkie załogi bojowe i nie bojowe. W rezultacie wszystkie miejsca zbiórek na lotniskach wyglądają jak sklepy z zabawkami dla chłopców: wszystkie ściany pokryte są rysunkami i sylwetkami samolotów z tyłu, z przodu, z boku, ze wszystkich możliwych stron. Fachowe pisma lotnicze usiłują wbijać charakterystyczne różnice poszczególnych typów przy pomocy dowcipnych wierszyków i karykatur, Ministerstwa takie jak *War Office*, *Home Office*, no i naturalnie *Air Ministry* wydają broszury i książki, podręczniki i tabele, nawet specjalne pisma dla młodzieży. Lecz mimo to wszystko, pomyłki stale się zdarzają.

Nie wiem, czy nie słuszne było stanowisko pewnej załogi amerykańskiej, która ze wszystkich możliwych karabinów maszynowych i działek swej "fortecy" grzała do każdego samolotu, który zbliżał się w ich zasięg, a nie był czteromotorowcem. Ten system miałby swe dobre strony, gdyby nie to, że — jak fama niesie — tę właśnie fortecę zestrzelił pewien wielki cztero-motorowy "Condor" niemiecki. Załoga do niego nie strzelała, bo miał bratnie cztery motory.

Wiedza o sylwetkach samolotów i sztuka rozpoznawania ich jest dziś ogromnie skomplikowana! . . .

Niemcy mają też swoje samoloty o napędzie odrzutowym. Podobno nawet starsze od angielskich. Jest to zupełnie możliwe. Pierwsze samoloty o takim napędzie skonstruowali Włosi dla swej *Reggia Aeronautica*. Jednak ów typ, "Caproni" był nader wolny i z udźwigiem też było jakoś nie w porządku. Przypuszczać tedy należy, że Niemcy wzięli zasadę na swe warsztaty i musieli dojść do pewnych rezultatów. Wtajemniczeni twierdzą, że chwila inwazji spuści ze smyczy wiele z arcyciekawych typów dotychczas starannie ukrywanych po tajemnych hangarach, w borach, w lasach i pod ziemią.

Z samolotów o napędzie śmigowym, powróciły na nowo, po latach, dawne typy o śmigle popychającym, to znaczy ze śmigłem, czy śmigłami, umieszczonymi z tyłu. Również wiele rozmaitych pism fachowych publikuje ostatnio plany samolotów bezogonowych. Patrząc na nie ma się wrażenie, że latają "tyłem do przodu".

Przeważa zdanie, że typem powojennym dla wielkich transportów na liniach komunikacyjnych, będzie jednak samolot bezśmigłowy, o silniku odrzutowym. Jednak znawcy nie wykluczają, że helikoptery, które w ostatnich czasach zrobiły taki skok naprzód staną się powszechne, szczególnie jako samoloty mas, czy samoloty ludowe, dostępne każdemu z racji bardzo niskiej ceny i łatwości w pilotowaniu.

Cokolwiek będzie, jedno stwierdzić należy: minęły już czasy, kiedy było można spoglądać na piękne, kolorowymi chmurami pokryte niebo i marzyć spokojnie wśród idyllicznej ciszy. W powietrzu będzie stale panował tłok i nieunikniony hałas. Nawet gdyby ktoś zaszył się w dżungli afrykańskiej, albo zemknął przed cywilizacją na Wyspy Szyldkretowe, to jeszcze łomot motorów wiercący w uszach przypominać mu będzie wiecznie i zawsze, że należy do cywilizowanego świata, uszczęśliwionego nowymi wynalazkami technicznymi.

M. J. GORDON

Koncert

TOLI KORIAN

i

ADELI KOTOWSKIEJ

w Klubie Orła Białego, zapowiedziany na czwartek 1-go czerwca, odbędzie się w terminie późniejszym, który będzie podany osobno.

Polska — żywymi oczami *

Wsi spokojna, wsi wesoła . . .

"Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna" . . . Polska wieś zduszona kontyngentami, przetrzebiona łapankami, dymiąca pożarami pacyfikacji, rozbrzmiewająca salwami rozstrzałów. Wieś z zaoranymi miedzami, zgliszczami gospodarstw, oparta o las czarny, a pełen nadziei, o bór, który bezdomnych przytuli.

Wszyscy wiedzą, że Warszawa to nie garść haniebna "złotej młodzieży", bywalców kabaretów i kasyna gry, że nie reprezentuje miast polskich paru nowobogackich czy "Volksdeutschów". Natomiast na temat wsi ciągle jeszcze usłyszeć można płytki dowcip lub po prostu fałsz, podkreślający najgorsze, rzadkie zresztą, wojenne przejawy życia. Sama pochodzę z pokolenia nie pamiętającego poprzedniej wojny, wydaje mi się jednak, że pokutuje w umysłowości ludzi miast komunał przeniesiony żywcem z innych czasów wojennych, z innej rzeczywistości.

Krzywdzące wieś uproszczenia rzadziej już znacznie spotyka się w Kraju, gdzie mimo komunikacyjnych utrudnień, ludzie mają możliwość poznania prawdy wiejskiej lat wojennych. Wspólna nienawiść, wspólna walka i wspólne nieszczęście zbliżyły Polaków różnych warstw społecznych, zatarły różnicę rogatek, podwórek miejskich i opłotków wsi. Na emigracji za często myśli się o wsi z nieprawdziwego zdarzenia. Chłopki w tym ujęciu dorobiły się futer i dywanów, pasek zamienił chłopskie komory w banki, a co już nieodzowne — kury w fortepianach znoszą jaja.

W pierwszych miesiącach po wejściu Niemców, wieś istotnie odczuła poprawę finansową. Ceny artykułów spożywczych poszły w górę, miasta starały się zrobić zapasy, płacąc, ile żądano za mąkę, tłuszcze, nabiał. Wieś, która często przed wojną obywała się bez soli i nafty, mogła zaopatrzyć się w odzież, często w narzędzia rolnicze. Po latach kapusty i ziemniaków przyszły na stół chłopa jaja, sprzedawane dawniej po 3 grosze, mleko, masło. Co ciekawsze, szeroką falą przypłynęła na wieś książka.

Ta pierwsza fala poprawy nie zdołała jeszcze wysłać izb dywanami, ani zawalić ich meblami — poskładane złotówki trzeba było szybko wyciągnąć na zapłacenie zaległych podatków. Te wsie, które dostarczają materiału do anegdot i docinków, to wsie, a ściślej mówiąc gospodarstwa, włączone administracyjnie w obręb "Wielkiej Warszawy", "Wielkiego Krakowa". Niemcy w swym biurokratycznym schematyzmie uznali gospodarzy podmiejskich za obywateli miast. Nie tylko nie mają oni obowiązku kontyngentów, ale otrzymują miejskie kartki na chleb. Położenie pozwala względnie łatwo dostać się z produktami do miasta. Majątki tych nowobogackich rosną z dnia na dzień tak jak i fortuny cienkiej warstwy paskarzy miejskich.

A tymczasem na wsi Niemcy spisali inwentarz, zabronili bicia świń, sprzedaży, wymian. Rosły kontyngenty. Bydło podzielono na kategorie, pociągi naładowane krowami szły bez przerwy na zachód. Kury otrzymały obrączki z numerami i nakaz zniesienia 160 jaj rocznie, świnie kolczyki. Wymiary dla dostarczania produktów stawały się z czasem tak wyśrubowane, że padanie inwentarza często zwalniało gospodarstwo od ciężaru. Wielokrotnie trzeba było dokupywać zboże czy jaja, żeby podołać obowiązkom. Były gospodarstwa, które musiały oddać ostatnią krowę. Przeprowadzona ostatnio rekwizycja koni musiała dokonać ostatecznej dewastacji żywego inwentarza.

Szybko zniknęła z chłopskich stołów omasta i nabiał: Kobiety donoszące żywność do miast coraz częściej wracały zbite, skrwawione, obrabowane. Trzeba było cudów pomysłowości, odwagi, dużego ryzyka, żeby na dnie blaszanki z mlekiem przemycić kawałek masła, pod fartuchem płat słoniny. W tych warunkach ceny rosły wielokrotnie, ale nie sama chęć zarobku prowadziła gospodynie wbrew wszystkiemu do znajomych sprzed wojny domów miejskich. Wymiana gospodarcza wsi i miasta ratowała obie strony. Pamiętam transakcję, gdy za jakąś sztukę garderoby, lub pieniądze pożyczone na kupno zboża przed zasiewem, gospodyni płaciła potem rok cały masłem, czy ziemniakami. Takie wymiany wymagały wzajemnego zaufania i rzetelności obu stron w czasach, gdy ceny zmieniały się z godziny na godzinę.

Już w drugim roku wojny wieś odczuwała ogromne braki w odzieży. Chłop, który przed wojną rzadko posiadał dwa ubrania, jedno do pracy i jedno od święta, nie miał możliwości uzupełnić swej garderoby. Mimo wysokich cen żywności wróciło odwieczne zagadnienie nożyc: na rynkach starzyzny trzeba było płacić tysiące za każdą znoszoną szmatę. Drewniaki stały się jedynym obuwiem wsi, wiejskie komórki R.G.O. były w znacznie trudniejszej sytuacji odzieżowej, niż miejskie. Ale



Wóz wiozący wysiedloną rodzinę chłopską

i miasto nie miało już odzieży na wymianę.

Rosły kontyngenty, wraz z nimi rósł opór. Mimo skracanych ciągle terminów, mimo wzmagającego się terroru, procent oddanych zbóż, a szczególnie kontyngentów mięsnych nie osiągał nigdzie przepisowych wymiarów. Szukając nowych dróg do uzyskania większych ilości mięsa wyznaczono ostatnio wymiar kontyngentu z hektara niezależnie od ilości posiadanego inwentarza. Oporne gospodarczo wsie karano braniem zakładników, paleniem gospodarstw, wysiedleniem. O wysiedleniu "nieudolnych rolników" obwieszczały afisze na budynkach gminnych, na murach miast powiatowych.

Plagą gmin stały się mleczarnie, do których trzeba było odstawiać nabiał. Stanowisko kierownika takiej mleczarni, często obsadzone przez "Volksdeutscha", dawało szerokie pole do nadużyć. Wieś broniła się jednak nie tylko sabotażem. Marnie zginął w dolinie Białego zakopiański "dyktator mleczny". Akcja bojowa przeciw mleczarniom zapalała pożarami kilkanaście tych niemieckich posterunków gospodarczych w jedną noc. Magazyny masła szły na aprowizację "leśnych ludzi".

Nie mogąc złamać wsi biedą, spróbowano ją wyludnić. Łapanki za łapankami wyrywały młody, zdrowy element ludzki na niewolniczą robotę do Niemiec. Są wsie całkowicie pozbawione mężczyzny, inne w ogóle bez młodzieży. Kobiety, starcy, przejęli obowiązki, zostali przy robocie. Nie porosło w komorze ziarno na zasiew, nie zardzewiał pług bez gospodarza.

Płynęły przez miasta długie szeregi chłopskie, dzieci nieraz 14-letnie, z zielonymi, drewnianymi kuferkami na ramieniu, wychodzące w obcy wrogi świat. Szli od swych domów, od rodzin, na wyzysk, poniewierkę i poniżenie, często na głód, czasem na śmierć. Miasto patrzyło na te pochody pełne grozy z najbardziej braterskim współczuciem, gdzie mogło — pomagało.

Ratował przed wywózką las, ratowali się czynem zbrojnym sami chłopi. Był to już czas tworzenia Chłopskich Batalionów, czas odpowiedzi gwałtem na gwałt. Co noc świeciły Niemcom do snu pożary budynków gminnych. Oblane naftą kartoteki kontyngentowe, spisy młodzieży przeznaczonej na robotę, płonęły w co raz to innym powiecie. Znam powiat, gdzie na 18 gmin spalono w jedną noc 17. Były powiaty, gdzie zbyt gorliwi sołtysi musieli osobiście topić poszarpane w strzępy spisy w gnojówkach. Niejeden wierny niemieckiej władzy "granatowy" lub wójt, otrzymał w taką noc doraźną nauczkę na stołku.

Jedną z dewiz okupanta jest niemiecki pewnik: każdego człowieka można złamać siłą. Wieś najlepiej wykazała Niemcom, że to prawidło nie stosuje się do Polaka. Spisy "Volksdeutschów" będą kiedyś świadectwem chłopskiej niezłomności. Spędzano ludzi gromadami przed kościół, schlebiano, przekonywano, grożono, bito — chłopi uchylali głowy przed kolbami karabinów i znowu odpowiadali: nie. Aresztowano zakładników, urządzano publiczne masakry, kobiety płakały, mężczyźni żegnali się pobożnie — odpowiedź była zawsze ta sama.

Tragedia Lubelszczyzny i Zamojszczyzny zbyt dobrze jest znana, nie będziemy powracali raz jeszcze do obrazu potwornej "pacyfikacji" tych okolic. Jedno znów tylko należy stwierdzić — w czasie, gdy płonęły chaty wraz z mieszkańcami, odrywano dzieci od matek, gdy zaorano miedze, by zniszczyć doszczętnie przeszłość, gdy rozpuszczone bydło ryczało po polach, ustała praca i wszelki ład, jeszcze i wtedy chłopi się nie ugięli, nie zrezygnowali z obrony i zemsty. Koloniści niemieccy, osiadli na żyznym czarnoziemie nie skosztowali złotej lubelskiej pszenicy. Las bliski i wciąż obecny zniechęcał nowych posiadaczy do wyjścia z pługiem w pole. Nie pomogło uzbrojenie kolonistów po zęby. W jednej z nowych osad zginęło ich 300-tu — wszyscy jacy próbowali się osiedlić na niegościnnej tym razem, ziemi polskiej. Ci zostaną na zawsze, tak, jak im to chłopi przepowiadali — pod ziemią.

Armia leśna, która przychodziła z ratunkiem, odsieczą, czasem tylko pomstą, stała się dumą i miłością wsi polskiej. W dawnej naszej leśnej wojnie powstańczej skubały szarpie panienki z białych dworów ziemiańskich, ozdabiały barankami rogatywki żołnierzom 1863 r. Dziś intendentura leśnych oddziałów, zaopatrywanie w żywność i odzież często leży w rękach wiejskiej gospodyni. Z chłopskich chałup spracowanymi zdziałane rękami wychodzą ciepłe kurtki, pierzem watowane, mające chronić przed wilgocią i chłodem nocy — leśnych chłopców w r. 1943.

Wśród dogłębnych przemian tej wojny dokonała się ważna i znacząca przemiana. Ostateczne uobywatelnienie mas ludowych. Szeregi chłopów i robotników weszły w skład Armii Podziemnej z najgorętszym pragnieniem walki o Polskę nie tylko wolną, ale o Polskę dla wolnych ludzi. Młodzież chłopska, rwąc się do broni, nie zaniedbała jednocześnie walki o myśl swobodną, o wiedzę, o słowo pisane. Bujny rozkwit prasy chłopskiej w czasie, gdy każda zadrukowana stronica może być zapłacona życiem ludzkim — jest najpiękniejszym dowodem tego rozpędu duchowego wsi. Miesięcznik ideologiczny "Polska Ludowa", tygodnik informacyjny "Przez Walkę do Zwycięstwa", pisma inteligencji ludowej "Orka" i "Przebudowa", pismo kobiet "Żywią i Bronią", agencja informacyjna "Wieś", pisma młodzieży "Młodzież" i "Rzeczpospolita Ludowa" — cała ta bogata prasa przerasta wielokrotnie poziomem wszystko to, co znaliśmy z tego zakresu przed wojną.

Kolportaż prasy chłopskiej jest specjalnie trudny. Dotrzeć z bibułą do zabitych nieraz deskami kątów, przebrnąć przez sito nieraz najrozmaitszych rewizji — nielada to zadanie dla łącznika. Niejedną też bolesną stratę poniosły młode szeregi Stronnictwa Ludowego; ludzie, którzy biorą do rąk cienkie stroniczki zdobne czterolistną koniczyną, nie zawsze zdają sobie sprawę, ile ofiar poniosła wieś polska, aby móc wołać o wolność Polski, o sprawiedliwość w stosunkach między narodami i ludźmi.

Tę sprawiedliwość codziennego bytowania wywalcza też wieś w codziennym trudzie okupacyjnej rzeczywistości. Podała pomocną rękę tym, którzy przyszli do niej w biedzie i nieszczęściu, otoczyła opieką i takich, którzy o nic nie prosili w potrzebie. Wieś Generalnego Gubernatorstwa przygarnęła tysiące wysiedlonych z zachodu, uchodźców ze wschodu w czasie rzezi wołyńskiej. Na powitanie chłopstwa wielkopolskiego wychodziły niejednokrotnie gminy całe w pochodach z chorągwiami kościelnymi.

Okupant liczył na to, że zwalając na chłopa polskiego ciężar utrzymywania wysiedlonych, spowoduje wzajemne niesnaski i nienawiść. Grano na różnicy cywilizacyjnej między ludnością Ziem Zachodnich, a chłopami Małopolski czy Lubelszczyzny. Niemcy raz jeszcze przeliczyli się w swych perfidnych zamierzeniach. Tarcia, które tu ówdzie powstały, bez których zresztą nie można sobie wyobrazić ruchu ludności na tę skalę, zniknęły w ogólnej atmosferze współżycia niosącego korzyść obu stronom. Zsypki zboża i ziemniaków najczęściej przekraczały wyznaczone wymiary, wieś opodatkowała się na rzecz wysiedlonych, dając mleko, nabiał i pieniądze. Chłopi z zachodu stanęli do pomocy w pracy, wnosząc do gospodarstw swoje doświadczenie, umiejętności fachowe i spokojny zacięty opór przeciw niemieckiemu, dobrze im znanemu najeźdźcy. Ze swej strony nauczyli się rozumieć trudności życia walczącej już i przed wojną z niedostatkiem wsi Polski Środkowej.

Dopiero w czasie tej wojny Kraj cały miał okazję poznać gruntownie i ocenić Polaków z zachodu. Przy wspólnych warsztatach pracy nauczono się podziwiać ich talent organizacyjny, ich umiejętność przystosowania się do każdych, najtrudniejszych warunków. Po paru miesiącach ciężkiej walki o byt z "podopiecznych" R.G.O. stali się żywą siłą gospodarczą Generalnego Gubernatorstwa. W najgorszych chwilach nie załamali się. Ludzie, którzy utracili najbliższych w czasie październikowych dni terroru w Wielkopolsce, niegdyś zasobni gospodarze, dziś doszczętnie obrabowani, jedno mieli tylko na ustach: — "My po swoje wrócimy, a może i dalej niż po swoje".

Oprócz wysiedlonych rolników przeniknęło na wieś sporo inteligentów, pragnących z tych czy innych względów przebyć czas wojenny z dala od miast. I to zazębienie przyniosło dodatni rezultat.

Wieś zepchnięta do roli pariasa przez Niemców otoczyła swą opieką najnędzniejszego z pariasów — Żyda. Tu, jak i w wielu innych wypadkach, za ludzkość płaciło się życiem. W osadzie Sadowne pow. Węgrowski rozstrzelano piekarza z żoną i synem za podanie bochenka chleba Żydówce. W wielu wypadkach wieś płaciła rozstrzałem, paleniem gospodarstw, wysiedleniem i śmiercią wśród szyderstw i upokorzeń, za taki bochenek chleba, za nocleg dla żydowskich nędzarzy, za miskę kaszy postawionej w lesie dla bezdomnych, wystrzeliwanych jak kaczki, dzieci żydowskich. Mimo to świadoma i celowa akcja szła od gminy do gminy, w oparciu o las silny, a pomocny.

Wieś i miasto sprzęgły się najściślejszą polską jednością. Zatarły się w wielkiej mierze różnice tak nieraz sztuczne. Chore na puchlinę głodową dzieci Małopolski Wschodniej wyrywano sobie jak skarb największy w gminach podwarszawskich i podkrakowskich. Na sieroty z Zamojszczyzny Warszawa czekała dzień i noc, czatując zbrojnie na pociągi, zabierając chłopskie maleństwa do rodzinnych domów stolicy. Chłopki przychodzące z towarem do miast wstępowały licznie do Patronatu Więziennego, stwarzając swymi darami nieraz podstawę żywnościową do paczek dla więźniów i jeńców.

Inteligencja zawodowa Warszawy, Krakowa i innych miast pamiętać będzie całe życie błogosławione, tajemnicze paczki żywnościowe z anonimową karteczką "pomoc ze wsi". Dopiero po trzech latach dowiedziałam się, że to Stronnictwo Ludowe starało się o umożliwienie przetrwania tępionej bez litości warstwie. Te 20 kg mąki, kaszy czy grochu, skrawek tłuszczu, to więcej niż ratunek od głodu, to praca nad budową przyszłego w Polsce zaufania, przyszłego, rzetelnego współdziałania wsi i miasta.

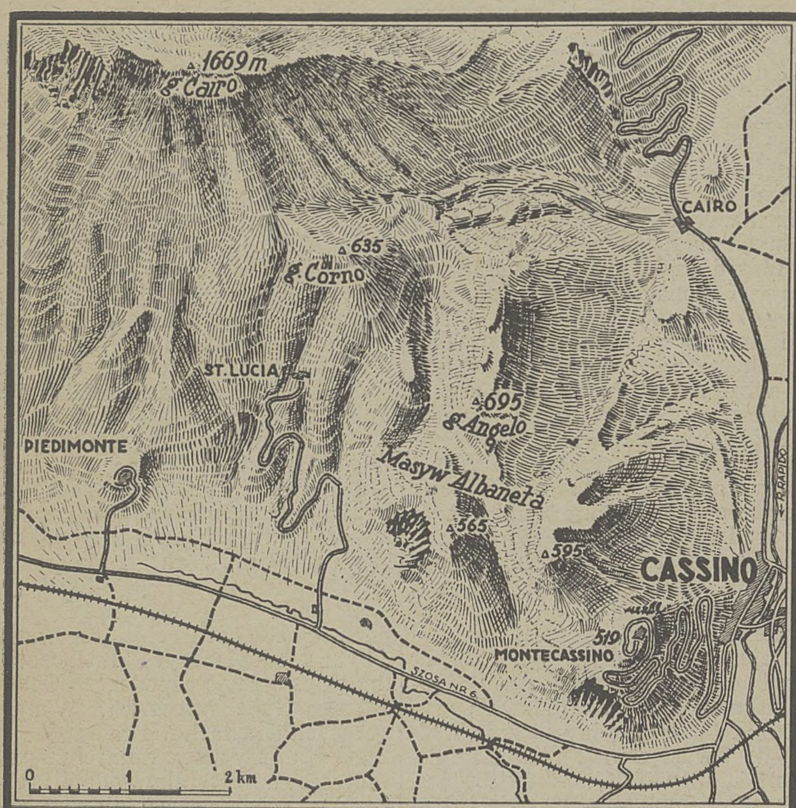
Gdy do jednego z dużych miast powiatowych zajechał pociąg z wysiedlonymi z Zamojszczyzny, wyległa do nieszczęśliwych ludność z kubkiem gorącej strawy. Po trzech dniach pobytu w niemieckim obozie przejściowym — wypadło grzebać 70 zmarłych. Za pogrzebem poszedł tłumny pochód, ludzie z miasta ponieśli kilka kilometrów chłopskie trumny na odległy cmentarz.

Zbratani w chwilach niedoli, silni w nieszczęściu, mamy przed sobą najtrudniejsze jeszcze chwile. Nie dość za Polskę umierać, trzeba umieć dla niej żyć. Wspólna wsi i miasta walka o Polskę, musi największe wywalczyć sobie zwycięstwo: szczęśliwe życie wolnego w Wolnej Polsce człowieka.

MARIA BRZESKA

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Powszedni dzień terroru" druk. w nr. 6, "Życie ulicy" druk. w nr. 7, "Wobec wydarzeń wojennych" druk. w nr. 8, "Dziecko i matka" druk. w nr. 10, "Kobieta w walce" druk. w nr. 11, "W domu" druk. w nr. 13, "Z Niemcami pod jednym dachem" druk. w nr. 14-15, "Humor w dniach grozy" druk. w nr. 17 "Polski Walczącej" z. b.r.

Cztery bitwy o Cassino



W końcu roku 1943 ofensywa Sprzymierzonych we Włoszech traci tempo. Ostatni wielki sukces — zdobycie Neapolu w dniu 1-ym października — zamknął okres powodzeń szybkich. Niemcy wchodzą w góry i zamykają przejścia, a na wybrzeżach bronią się za bystrymi rzekami. Jeszcze 5-ta armia w kilka dni osiąga m. Capua, a zaraz potem walczy o przejście rzeki Volturno; jeszcze 8-ma armia jakiś czas idzie szybko poprzez rzeki, wpadające do Adriatyku, ale co raz trudniej przychodzi oczyszczanie terenów górskich, przeciętych nielicznymi drogami. Isernia pada dopiero 4-ego listopada, rzeka Sangro jest osiągnięta 19-go listopada, poczem rozpoczynają się nad nią długie i zaciekłe walki, aż w ostatnich dniach grudnia Sprzymierzeni na trwałe zajmują Ortonę nad Adriatykiem. W tym czasie 5-ta armia dochodzi do rzeki Garigliano nad morzem Tyrreńskim, a jeszcze po dwu tygodniach — do rzeki Rapido. Walki są gwałtowne i tak jak wszystkie działania ofensywne w terenach górzystych — powodują wielkie straty w sojuszniczych szeregach.

LINIA GUSTAWA

W tym okresie — jest to połowa stycznia r.b. — słyszymy o linii Gustawa. Mówi o tej linii propaganda niemiecka, wspominać o niej zaczynają komunikaty Sprzymierzonych. Kluczem linii były umocnienia dokoła miasta Cassino. Górujący nad miastem klasztor Benedyktynów zapewniał Niemcom pozycje, kontrolujące ruch na drogach, które zbiegają się w Cassino i po opłynięciu góry Klasztornej — wyprowadzają na gościniec rzymski czyli szosę nr. 6. Na północ i na zachód od tej góry znajdują się wyższe wzgórza: 595, 565 i 695, zwane górą Angelo. Ze szczytów tych można ostrzeliwać górę Klasztorną. Jeszcze bardziej na północ i jeszcze wyżej wznosiły się schodami stoki góry Cairo, wysokiej na 1669 m.

Droga do Rzymu prowadziła zatem przez Cassino. Zajęcie miasta i wyjście z niego było niemożliwe bez opanowania szczytu 519, czyli góry Klasztornej. Z kolei, dla jej zdobycia — trzeba by opanować przynajmniej trzy pobliskie szczyty, wymienione poprzednio. Ale wzgórza te mogły być z kolei bronione ze stoków góry Cairo. Pozycja niemiecka wydawała się niezwykle mocna. Według jednego z korespondentów brytyjskich, Hitler miał się wyrazić, że Cassino jest nie do zdobycia. Propaganda niemiecka szeroko wyzyskała ten "niezdobyty" bastion niemieckiego frontu południowego.

Wypadki wojenne zdawały się potwierdzać tezę, że klucz linii Gustawa nie może być wzięty.

PIERWSZA BITWA

W drugiej połowie stycznia Amerykanie znacznie powiększyli przyczółek na rzece Rapido. Tymczasem Niemcy rzucili do walki przeciwko 5-ej armii trzy najlepsze dywizje grenadierów pancernych. Dnia 23 stycznia Amerykanie musieli się wycofać. Dnia 30 stycznia zdobyli oni dwa wzgórza na drodze z Terelle do Cassino. Był to pewien wyłom. Niemcy twierdzili, że Sojusznicy osiągnęli drobne korzyści kosztem wielkich strat. Walki były ciężkie.

W końcu stycznia Amerykanie przerwali linię Gustawa i zajęli miejscowości: Cairo i Montevilla. /m. Cairo znajduje się o 4 km. na wschód od góry Cairo i w takiejże odległości od m. Cassino/.

DRUGA BITWA

Dnia 13 lutego zrzucone były ulotki, nawołujące ludność do opuszczenia klasztoru, gdyż będzie on ostrzeliwany, jako niemiecki punkt oporu. W miasteczku na dole wrzała walka o każdy dom i każdą ruinę. Amerykanie walczyli z furią, ale mogli posuwać się tylko bardzo wolno. Zdołali nawet przejść poza miasteczko, aż na stok wzgórza i dnia 14 lutego zajmowali już prawie całe, doszczętnie zniszczone Cassino.

Jednak dnia 15 lutego okazało się, że Niemcy uniemożliwiają pozostanie Sojuszników w Cassino i wyjście ich na drogę rzymską. Ustalono, że na górze Klasztornej znajduje się przynajmniej 30 niemieckich karabinów maszynowych. Gniazdo niemieckie musiało być zniszczone.

Rozpoczęto straszne bombardowanie klasztoru z dział i z samolotów. Amerykanie ruszyli do natarcia i zyskali teren na południe i na północny zachód od Cassino. W tych zaciekłych walkach towarzyszyły im oddziały indyjskie i nowozelandzkie. Niemcy jednakże nie dali się wyprzeć z ruin klasztoru, morderczym ogniem prześladując nawet pojedynczych żołnierzy, ukazujących się na gruzach Cassino, lub na drogach. Widoczność z góry była doskonała i Sprzymierzeni znów musieli oddać krwawo wywalczony teren.

Późniejsze komunikaty wojenne rzadko wspominają Cassino. Czytamy więc w końcu lutego i w pierwszej połowie marca o złej pogodzie, hamującej operacje w tym punkcie frontu. Nie ma żadnych zmian. Niektórzy znawcy wojskowi wyrażają opinię, że front włoski zamarł na dobre, na stałe.

TRZECIA BITWA

Dnia 15 marca Cassino jest znów na ustach wszystkich. Sprzymierzeni zrzucają na opactwo i na osiedle straszliwy ładunek 2500 ton bomb. Miasto i klasztor znikają w dymach i kurzawie. Silne oddziały piechoty ruszają do natarcia i dnia następnego zdobywają ponownie część ruin Cassino. Niemcy wprowadzając nocami odwody nie dają się wyprzeć zupełnie. Trzymają się także w klasztorze i zajmują nawet jedno z otaczających wzniesień.

Dnia 17 marca Sprzymierzeni zdobywają stację kolejową, ale prowadzące do niej drogi są pod ogniem niemieckim. W ruinach Cassino bierze się 220 jeńców, ale Niemcy znów sprowadzają posiłki.

Dnia 21 marca wchodzi do walki po stronie niemieckiej 1-sza dywizja spadochronowa. Jest to jednostka wyborowa, która odznaczyła się w wielu walkach, m.i. na Krecie. Młodzi, fanatyczni hitlerowcy stanowią szeregi tej dywizji. Nie udaje się ich wyrzucić z resztek dwu hoteli.

Niektóre oddziały Sprzymierzonych wdarły się w tej bitwie na zbocza góry Klasztornej i zbliżyły na odległość zaledwie paruset metrów do samego klasztoru. Znalazły się one w trudnej sytuacji pod ulewą pocisków niemieckich. Zaopatrywanie ich było niemożliwe. Łączność również ustała. Był później wielki kłopot z wycofywaniem i ratowaniem tych odosobnionych grupek.

Dnia 26 marca czytaliśmy półoficjalne oświadczenia, że bombardowanie miasteczka i opactwa nie przyniosło wyników i że działania na tym odcinku ograniczają się do wymiany salw artyleryjskich. Propaganda niemiecka huczała tryumfem. U Sprzymierzonych mówiło się o niezwykłej zaciętości młodych żołnierzy niemieckich; o tunelach i przejściach podziemnych, które dopomogły Niemcom w doprowadzaniu posiłków; o złej pogodzie, która przeszkadzała w działaniach. Czytaliśmy także opinię, że piechota Sojuszników za późno ruszyła do natarcia po bombardowaniu w dniu 15 marca, co pozwoliło Niemcom wrócić do ruin i ochłonąć po nawale bomb i pocisków.

Tak czy inaczej — bez zdobycia Monte Cassino — nie udało się przełamać linii Gustawa i nie można było wyjść na drogę rzymską. Dnia 28 marca ostatnie pozycje Sprzymierzonych na wschodnich stokach Monte Cassino zostały ewakuowane, a następnego dnia — zajęte przez Niemców.

I znów następuje długa cisza. Na całym froncie 5-ej i 8-ej armii trwają pojedynki artyleryjskie i działania patroli.

POLSKA BITWA

Dopiero w siedem tygodni później rozpoczynają się wydarzenia, mające wsławić górę Klasztorną i jej zdobywców. W głębokiej tajemnicy odbywa się na wąskich górskich drogach przegrupowanie. Z nad Adriatyku przychodzi w pomoc 5-ej armii armia 8-ma. Należą do niej oddziały brytyjskie, kanadyjskie, nowozelandzkie, indyjskie, oraz II Korpus Wojsk Polskich.

Zadaniem Polaków jest uderzenie na górę Angelo, masyw Albaneta i wzgórza 565, 595 oraz Monte Cassino. Natarcie wychodzi w nocy z dnia 11 na 12 maja i jest poprzedzone potężną nawałą ognia artylerii polskiej i brytyjskiej. Dwie dywizje: Karpacka i Kresowa przeszły rzekę Rapido na północ od Cassino i w serii brawurowych ataków opanowały wzgórza 595 i 565. W ciągu pierwszego dnia Niemcy pięć razy ruszali do przeciwnatarcia. Dnia 13 maja Polacy odparli dalsze przeciwnatarcia niemieckie.

Po tej pierwszej bitwie, dnia 17 maja, Polacy zdobyli w walce, która trwała 27 godzin, wzgórze 458 i uderzyli frontem na południe — na górę Klasztorną. Nieustannie dochodziło do walki wręcz. Gdzieniegdzie używano drabin. Ogień niemiecki raził z góry. Wszyscy polscy żołnierze dokonywali zaiste niezwykłych wysiłków moralnych i fizycznych. Trup padał gęsto. Walka toczyła się wśród ciał żołnierzy, poległych na stokach wiele tygodni przed tym.

Pierwszy polski oddział wszedł do ruin klasztoru dnia 18 maja o godzinie 5-ej rano. Jednocześnie inne oddziały 8-ej armii, które nacierały na południe od miasteczka, wyszły na szosę do Rzymu, oraz zaczęły wchodzić do ruin Cassino.

Ogień niemiecki z góry Klasztornej już im nie groził. Byli tam teraz Polacy. O godzinie 10 min. 20 podniesiono nad ruinami opactwa sztandar polski a nieco później i brytyjski.

Gdy Polacy poszli dalej — zdobywać Piedimonte, u podnóża góry Cairo — z ruin, rozpadlin i jaskiń zaczęli wychodzić Niemcy, którzy ocaleli w bitwie i którzy woleli poddać się Anglikom. Było to zrozumiałe u tych hitlerowców, którzy kilkakrotnie użyli przeciw Polakom haniebnych podstępów, jak na przykład wywieszanie białej flagi, a później strzelanie do zbliżających się, lub też — wybieganie z rękami podniesionymi do góry i obrzucanie Polaków granatami. Rannym a wziętym do niewoli Polakom Niemcy łamali żebra i wybijali zęby.

Straty bojowe po obu stronach były ciężkie.

* * *

Rezonans bitwy o górę Klasztorną jest olbrzymi. Wszyscy korespondenci wojenni nadesłali do swoich pism i rozgłośni obszerne, liczne depesze, sławiące wysiłek i bohaterstwo. Generał Alexander, dowódca 15-ej Grupy Armii nazwał wspaniałym wyczynem Polaków, którzy "wzięli fortecę, uważaną przez wroga za niezdobytą". Król Jerzy VI nadał gen. Andersowi, dowódcy Korpusu, Komandorię orderu Łaźni. Mnóstwo gratulacji posypało się na Korpus Polski. Szereg korespondentów i oficerów, którzy zwiedzali pola walki, wyraziło opinię, że Polacy dokonali czynu wręcz niemożliwego. Warunki terenowe bitwy o opactwo były istotnie straszliwe.

* * *

Pierwszą wieść o zdobyciu klasztoru przyniósł do Dowództwa dywizji Karpackiej gołąb pocztowy, wypuszczony przez oficera zaraz po opanowaniu szczytu. Gołąb niósł na nóżce kartkę z krótkim napisem — V.

Ten znak zwycięstwa ma dla nas znaczenie podwójne. Nie tylko opactwo było zdobyte i nie tylko nowy świetny czyn przybył Polskim Siłom Zbrojnym. Sprawa polska również zwyciężyła. Nieprzyjazne i podstępne czynniki od roku wmawiały opinii świata, że Polacy nie chcą się bić, że się nie biją, że unikają walki. Stosunki tak się ułożyły żałośnie — nie dla nas — że tego rodzaju szantażowi nie mogliśmy przeciwstawić nic, prócz argumentu krwawego i sławnego. Stało się nim — Monte Cassino.

Zmagania o zajęcie tej kluczowej pozycji niemieckiej trwały tak długo i zapisały się tak mocno w opinii niecierpliwego świata, że o zdobyciu i o zdobywcach klasztoru — nie mogło być cicho. Im ciszej i gorzej było o nas dawniej — tym głośniej i piękniej jest teraz. Przyjaźń dla Polski powraca. Złe podszepty zamilkły. Żołnierz polski znów ratuje Sprawę.

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

Dwa zdjęcia, przedstawiające Cassino w ostatniej fazie walk, które wsławiły II. Korpus Polski: na lewo akcja oczyszczania terenu /na pierwszym planie widać dwa czołgi "Sherman"/, na prawo jeńcy niemieccy, wyłowieni przez żołnierza polskiego wśród ruin





Kapliczka na rozstaju dróg

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Kapliczka zbudowana przez junaków

m.p. Środkowy Wschód
w lutym 1944

Wielka gromada junacka, dziewcząt i chłopców, ma swe pismo, regularnie co miesiąc wychodzące. "Junak" jest wydawnictwem Polskiej Y.M.C.A., redagowanym przez "imkarzy" przy dużej współpracy młodzieży i niezmiennej życzliwości dowództwa szkół i dyrekcji nauk.

Początki były i tu trudne. Taki obrazek. Obchodzącemu wszystkie klasy kadeckie redaktorowi przyszłego "Junaka", wyjaśniającemu

m. p. Luty 1944 Rok II. Nr 2 (12)

J U N A K

MIESIĘCZNIK DLA ML. OCHOTNICZEK I JUNAKÓW NA ŚR. WSCHODZIE

Redakcja: Polska YMCA m. p. Dowództwa Szkół Junaków

chłopcom, że nie przyjechał do obozu sprzedawać im kanapki i kakao, młodzi słuchacze po pogadance podsuwają wcale udatną karykaturę prelegenta. Napis pod tym taki:

—"Nie przybyliśmy tutaj po to, aby sprzedawać kakao".

Jeden z junaków: —"'Uuuu . . . jaka szkoda".

Takie jest jeszcze wtedy nastawienie chłopców, przede wszystkim: jeść, dożywiać się. Inne sprawy są na dalszym planie. Jest to zrozumiałe. Organizmy ciągle jeszcze potrzebują forsownego odżywiania. To też bufety w kantynach "Imki" są stale oblężone, smaczne i tanie kanapki znikają rekordowo. Nastawienie to zmienia się powoli, imprezy kulturalne, przedstawienia, gazety co raz bardziej przykuwają uwagę młodzieży.

"Junak", któremu początkowo nie rokowano wielkiej przyszłości, rozwija się dobrze i ma już swą uznaną i przez obcych pozycję. Współpraca młodych w tym pożytecznym piśmie byłaby znacznie większa, gdyby nie istotny brak czasu, gdyby nie potrzeby szkoły. Młodzi odczuwają jednak potrzebę dyskusyj, wypowiadania się na różne tematy, bo poza "Junakiem" w świetlicach kompanijnych są jeszcze gazetki ścienne, które zwłaszcza u młodszych ochotniczek dają możliwości pisarskie wszystkim, nie zawsze nadającym się do druku autorom.

Chóry, podwieczorki przy mikrofonie, inscenizacje okazyjne, u dziewcząt wieczory muzyczne, orientujące między innymi w muzyce wschodniej, liczne wycieczki — oto ujście dla inicjatywy i dobrowolnego zwykle wysiłku, chętnie podejmowanego. Wszystkim służą świetlice Polskiej "Imki", która w sześciu obozach szkół junackich ma swoje placówki i spełnia swe zadania ku zupełnemu zadowoleniu dowództwa, a co jeszcze ważniejsze — i samej młodzieży.

Ciocia "Imcia" — jak ją nazywają i tutaj — jest wielce popularna. Zasługa to różnych przyjęć, podarków, imprez, ale również w dużej mierze i serdecznej troskliwości "imkarek". Polska Y.M.C.A. utrzymuje własne świetlice, kantyny, sklepiki, poza tym pracownię artystyczną, pracownię malarską. Niezależnie od tego w kompaniach są jeszcze świetlice kompanijne, a w niektórych szkołach także sklepiki junackie. W najstarszej kompanii kadeckiej jest "sklepik zaufania", w którym nikt należności nie inkasuje, a każdy nabywca składa wyznaczoną w spisie sumę sam, nie kontrolowany. Wychowawczy sklep daje dobre wyniki.

Arabczuk "Marian Saliński" wśród kolędników



Wszędzie są biblioteki szkolne, jednak nie wystarczające. Pomaga tu swymi książkami "Imka", poza tym wypożycza się książki w palestyńskich księgarniach. Popyt na lekturę jest wielki, głównie jednak na książki lekkie, raczej sensacyjne. Zapotrzebowanie na podręczniki szkolne, wydawane przez wojskową komisję wydawniczą, jest już pokryte w stu procentach. Wynik doprawdy wspaniały w porównaniu z tymi początkami z lipca 1942 roku, kiedy to książka była marzeniem i nauczyciele musieli wykładać z pamięci lub z pośpiesznie pisanych skryptów.

Postęp jest ogólny. Junacy mają dzisiaj swą orkiestrę. Na razie występują tylko werbliści i sygnaliści, ale reszta pod kierunkiem zawodowego kapelmistrza ćwiczy zapamiętale i chyba już w bieżącym roku szkolnym wystąpi w komplecie. A komplet to wielki, bo junacy otrzymali od różnych oddziałów Armii Polskiej na Wschodzie instrumenty na 60-osobową orkiestrę. Kilka instrumentów dokupiła jeszcze Delegatura Min. Opieki Społecznej.

Środowisko junackie jest atrakcyjne nie tylko dla Polaków. Bo na przykład taki . . . "Marian Saliński".

Mały Arabczuk z zachwytem patrzy na junaków. Kręci się w pobliżu, uzdolniony do języków obcych jak wszyscy Arabowie, chwyta w lot polskie słowa, w krótkim czasie mówi już płynnie po polsku. Miły, grzeczny, lgnie do polskich chłopców, ten pomocnik fryzjera w sąsiedniej osadzie żydowsko-arabskiej. Dostaje od swych polskich przyjaciół z powszechnej fury... rażerkę, co mu nie wystarcza. Wyjednuje jeszcze książkę do nauki polskiego. Niedługo, a pisze listy polskie. Wreszcie całkiem poprawnie pisze podanie do szkoły że on, Marian Saliński — tak sam się teraz nazywa — chce być junakiem, że chce chodzić do polskiej szkoły.

"Marian", śniady Arabczuk zapewnia, że nie zostanie w Palestynie. Pojedzie do Polski. Jest uparty, skoro nauczył się pisać po polsku. Uwierzyć więc łatwo, że pojedzie i do Polski, ten junak arabski, który w święta kolęduje po polsku z chłopcami.

Legenda dziewcząt w mundurach, tych junaków — maleńkich Nazarejczyków i karabinem władających chłopaków pozostanie w Palestynie i Egipcie już na zawsze. Pozostaną i inne ślady.

W wielkim obozie, jednym z setek czy tysięcy, jakie dzisiaj rozsiane są na Środkowym Wschodzie, stoi kapliczka. Na rozstaju dróg, tak samo jak w Polsce, tylko bez krzewów czy drzew, kapliczka, białymi kamieniami świecąca, codziennie przez chłopców przybierana. Kaplica adoracji majowej, miejsce apelów wieczornych, wspomnień żałobnych o tych, którzy już nie dojdą.

Postawili ją junacy. Potem z rozkazu odeszli, zmienili m.p., zostawiając kaplicę na znak wiary polskiej, żywej i coraz żywszej. Junacka młodzież jest bardzo religijna, przede wszystkim ta najmłodsza. Nie ma obozu bez krzyży tu postawionych, bez tablic w kościoły wmurowywanych, bez tych znaków, które powodowane są potrzebą wierzących serc.

Dzisiaj obóz przedtem junacki, gdzieś w Palestynie, jest pusty, baraki zamknięte, suche badyle porastają miejsca ćwiczeń i nauki. Tuż obok, szosą, mijają nieprzerwanie samochody z wojskami narodów całego świata. Na wzgórku bieleje kapliczka polska, znak nie do ominięcia.

"Polish" — mówią kierowcy, znający te strony.

Polish . . .

TADEUSZ PNIEWSKI



M.p. junaków na wzniesieniu nad Nazaretem



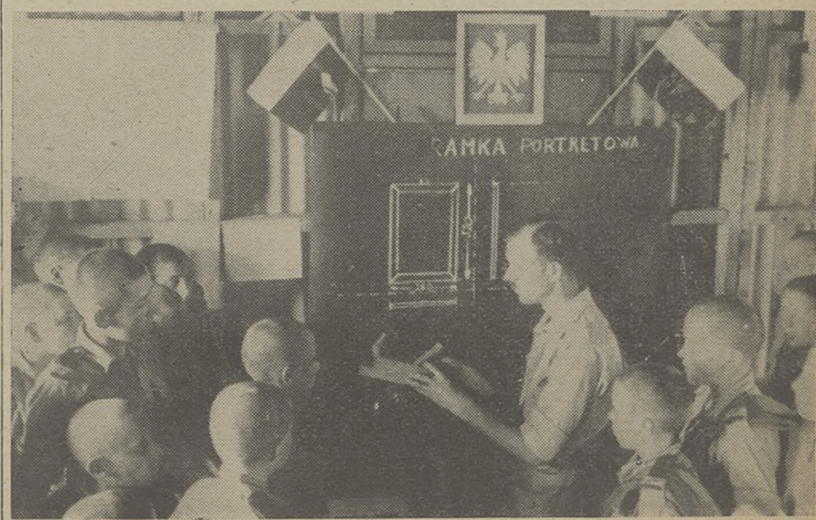
Kadeci "podwieczorek przy mikrofonie"



Junacki sklepik bez sprzedawcy



W świetlicy Polskiej Y.M.C.A.



Lekcja z praktycznym pokazem

Lekarz na froncie bojowym

(Na podstawie opowiadań amerykańskich lekarzy wojskowych)

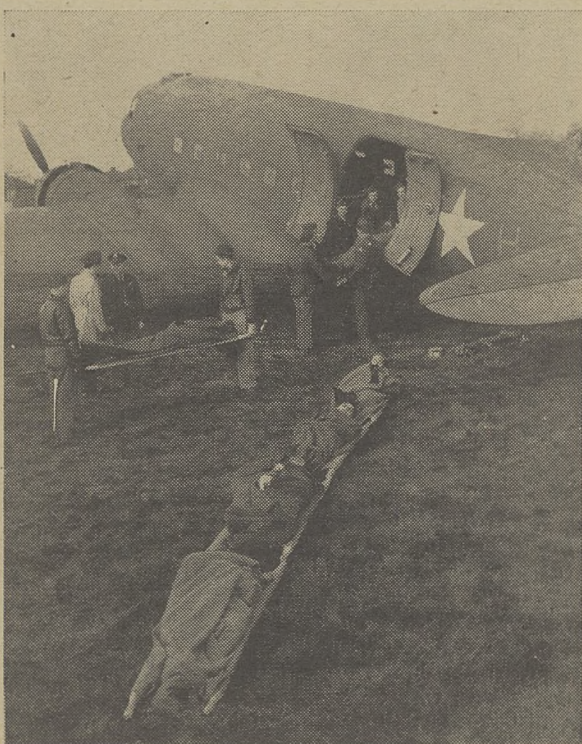
II.*

WALKA Z OPARZENIAMI

Oparzenia były zawsze w czasie wojny poważną groźbą dla marynarzy, w obecnej wojnie zmechanizowanej obejmuje ona wszystkie rodzaje broni. Lecz ze wzrostem możliwości oparzeń wzrosły też sposoby skutecznego leczenia i ratowania życia ofiar. Krew, sulfamidy, środki przeciwtężcowe dają chirurgowi więcej możliwości uratowania pacjenta. Pierwsza pomoc dla oparzonych składa się z 4 gr. sulfadiaziny doustnie, zastrzyku morfiny, maści borowej lub waseliny, po czym ranę mocno się bandażuje.

Następnej pomocy udziela się już z dala od pola bitwy, kontynuując ją przez plazmę, dalszą dawkę sulfadiaziny, czyszczenie miejsc oparzonych, usuwanie zwisających luźnych tkanek i ponowne obcisłe obandażowanie. W wielu wypadkach, oparzenia/ z wyjątkiem rąk i nóg oraz części rodnych/ skrapia się kwasem garbnikowym i rozczynem azotanu srebra lub robi się potrójną antyseptyczną zaprawę anilinową, którą pokrywa się miejsca oparzone dla zabezpieczenia końców nerwów i ochrony przed zakażeniem.

Z innych metod stosuje się Pickrella skraplanie sulfadiaziną oraz "kopertę" Bunyana, nieprzemakalny, nieprzepuszczający powietrze przeźroczysty opatrunek, który całkowicie uszczelnia oparzone miejsca, a umożliwia równocześnie zwilżanie rozczynem solnym. Powyższe sposoby leczenia oparzeń są nieskończenie lepsze od wszystkich innych, znanych 25 lat temu.



Samolot sanitarny dla transportu rannych

Oparzenia, nawet całkowicie wyleczone, pozostawiają jednak blizny i zniekształcenia. Dłonie pewnego działonowego pozostały zaciśnięte i sztywne, marynarz niebezpiecznie poparzony opuścił szpital zgięty w pałąk, pewien zaś pilot w wypadku lotniczym stracił nos, wargi i powieki — uratowano go od śmierci, lecz wydawał się być stracony dla życia. Jednakże nie pozostawiono ich, jak i wielu tysięcy ich towarzyszy, własnemu losowi.

Ortopedia jest zakończeniem leczenia oparzonych żołnierzy. Nowe szczęki, sztuczne zęby, uszy, nos, wargi i powieki, a nawet rzęsy i brwi otrzymuje pacjent i to w ciągu kilku miesięcy, czasem i szybciej. Ostatnio wprowadzona metoda Padgetta umożliwia przeszczepienie skóry ze zdrowego miejsca pacjenta na oparzone. 90-95 procent przeszczepień przyjmuje się w ciągu 2 tygodni. Tak więc i w tej dziedzinie wiedza lekarska, umiejętność, sumienność, przede wszystkim wysokie poczucie posłannictwa lekarzy — sprawiają cuda.

CHOROBY W CZASIE WOJNY

Choroby wojenne są to zwykłe choroby czasów pokojowych, tylko spotęgowane masowym współżyciem, przemęczeniem i trudnościami należytej kontroli sanitarnej w obszarze bitewnym. Najgroźniejszym nieprzyjacielem żołnierzy w ostatniej wojnie była — influenza. Pochłonęła dziesiątki tysięcy ofiar. Plagą obecnej wojny są malaria i dezynteria. Choroby te robią znaczne szczerby w szeregach wszystkich armii i niejednemu lekarzowi wojskowemu, spędzają sen z powiek. Nie ma jeszcze dokładnych cyfr, jedyna statystyka, jaką podają lekarze alianccy, jest ujęta niezwykle charakterystycznie: "Nieprzyjaciele nasi cierpią z powodu tych chorób, nie mniej od naszych żołnierzy". Czerwonka i biegunka były zawsze nieodstępnymi towarzyszami walczących, cóż, dopiero w krajach podzwrotnikowych, gdzie zabezpieczenie całkowite wszystkich środków żywności i napojów od zakażenia jest prawie niemożliwe.

Bakcyl czerwonki drobnoustrojowej względnie ameba czerwonki pełzakowej przenoszą się z zakażonego kału do środków żywności. Zasięg tej choroby w krajach tropikalnych, rojących się od much jest olbrzymi. Czerwonka drobnoustrojowa jest dziesięciokrotnie powszechniejsza wśród żołnierzy od amebowej. Jest też łatwiejsza do leczenia. Odpoczynek i leki z grupy sulfamidowej, zazwyczaj już po tygodniu stawiają chorego na nogi. Czerwonka amebowa jest chorobą bardzo poważną, trwa znacznie dłużej i w bardzo wielu wypadkach pozostawia owrzodzenia grubego jelita. Czerwonka uznana została przez lekarzy wojskowych za wroga walczących nr. 2.

MALARIA — WRÓG NR. 1

Wrogiem nr. 1 jest malaria, szczególnie na Pacyfiku. Jest zarazem zagadnieniem medycznym nr. 1, jak i chorobą nr. 1 na całym świecie. Malaria pochłania od 2 do 8 milionów ofiar rocznie. Sanitarne urządzenia, osuszanie moczarów, zasłony mogą dać pewne zabezpieczenie przed plagą komarów, rozsadników malarii. Żołnierz chroni się przed ukąszeniami komarów rozpylaniem specjalnych płynów lub maściami odstraszającymi owady, okrywa ciało materiałami czy siatkami. Ostatnio zastosowano "bomby przeciwkomarowe", którymi bombarduje się z samolotów okolice rojące się od komarów. Jedna bomba oczyszcza z owadów przestrzeń 150.000 stóp kubicznych. W obozach wojskowych w południowych Stanach Ameryki odsetek wypadków malarii spadł na skutek środków zapobiegawczych do 0.6 na 1000 ludzi.

Jednak nie można osuszyć wszystkich błot, ani przysypać wszystkich jam w dżungli na Wyspach Salomońskich czy na Nowej Gwinei. Żołnierz też nie myśli o zabezpieczaniu swego ciała przed ukąszeniem komarów, gdy wie, że każdej chwili grozi mu śmierć od strzału wroga z głębi tajemniczej dżungli. Nielada problem dla żołnierzy walczących na Pacyfiku: kula japońska czy komar; zazwyczaj wybierają prawdopodobieństwo malarii. Niemal wszyscy żołnierze walczący w krajach malarycznych dostają malarii. Na Bataan przechodziło ją 85 proc., na Pacyfiku 50 proc. ma ją obecnie.

Zastraszające jest żniwo śmierci od tej choroby, albowiem jak dotychczas nie wynaleziono jeszcze środka, którzby przed nią zabezpieczał. Obecnie przeprowadza się doświadczenia z sulfamidami, które rokują pewne nadzieje. Chinina była do nie dawna jedynym środkiem przeciwmalarycznym, zapobiegawczym, jak i leczniczym. W r. 1933 niemiecka "I.G. Farbenindustrie" wprowadziła na rynek "atebrinę", syntetyczny produkt teru węglowego. Wynalezienie atebriny okazało się zbawienne przede wszystkim dla Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii, które po zajęciu Indyj Holenderskich przez Japonię, nie byłyby w stanie zaspokoić swych potrzeb w walce z malarią, nie mając dostatecznych zapasów naturalnej chininy.

Z chwilą pojawienia się atebriny na rynku, świat lekarski podzielił się na dwa obozy: zwolenników i przeciwników tego środka. Przez dziesięć niemal lat toczyła się zawzięta dyskusja na temat względnej wartości leczniczej chininy i atebriny. Zwolennicy chininy utrzymują, że atebrina jest niebezpieczna, może być brana przez chorego jedynie na wyraźne zlecenie lekarza i pod ścisłą jego obserwacją. Zwolennicy atebriny natomiast twierdzą, że środek ten jest bezpieczniejszy, bardziej skuteczny, tańszy i przyjemniejszy w użyciu, aniżeli chinina.

Przez dłuższy czas kursowały w Ameryce pogłoski, iż Niemcy oddając współpracującemu z nimi koncernowi amerykańskiemu receptę, rozmyślnie usunęli jeden z najważniejszych składników chemicznych, wskutek czego atebrina sporządzona z takiego przepisu nie ma żadnej wartości leczniczej. Mówiono też, że atebrina powoduje żółtaczkę. Okazało się, że to były jedynie echa walk konkurujących koncernów chemicznych a wojna obecna, spór atebrinowo — chininowy przechyliła na korzyść atebriny.

Lekarze amerykańscy utrzymują, że gdyby nie atebrina Amerykanie nie mogliby prowadzić wojny na Pacyfiku z braku chininy, poza tym twierdzą, że atebrina wykazała te same właściwości zapobiegawcze i lecznicze co chinina, jest jedynie powolniejsza w działaniu. Oba środki mają i swe ujemne strony. Atebrina powoduje wymioty i czasami przejściowe żółtaczkowe zabarwienie skóry, po chininie zaś pacjent jest zazwyczaj osłabiony fizycznie, chwieje się i "dzwoni" mu w uszach. Ostatecznie wojskowi lekarze amerykańscy ustalili dla lecznictwa wojskowego przepis przeciw malarii QAP, t.j. kombinację chininy, atebriny i plasmochiny.

W pierwszej Wojnie Światowej na czterech zabitych w akcji jeden żołnierz ginął na skutek jakiejś choroby. Obecnie procent chorych jest znacznie niższy, a zgonów w wyniku choroby dziesięć razy mniej. Również choroby weneryczne, dawniej tak powszechne w każdej armii, zmniejszyły się radykalnie. W r. 1918 stan chorób wenerycznych wynosił 150 na 1000, w r. 1941 już tylko 40, a w r. 1943 niecałe 35 wypadków na 1000 ludzi. Podobny stosunek jest i w marynarce, która pod tym względem dzierżyła "pierwszeństwo".

Wszyscy bez wyjątku żołnierze, obojętne czy stacjonują w swych ojczystych krajach czy wyjeżdżają na fronty zamorskie, szczepieni są przeciw ospie, tyfusowi i tężcowi. Ponadto wszyscy żołnierze szczepieni są przeciw chorobom zaraźliwym, panującym nagminnie w krajach, przez które przejeżdżają lub w których muszą walczyć. I tak przeciw żółtej febrze w Ameryce środkowej i południowej, przeciw cholerze w Azji, Indiach Wschodnich i na Środkowym Wschodzie, przeciw tyfusowi w Europie, Afryce i Azji, przeciw dżumie — wszędzie tam, gdzie jest ślad choćby jej istnienia.

WPŁYW WOJNY NA NERWY

Samolot, czołg i okręt podwodny, będące w obecnej wojnie w tak masowym użyciu sprowadziły dawniej nieznany, względnie mało znaczący problem uszkodzeń i zaburzeń ustroju nerwowego. Medycyna zapobiegawcza więcej może przyczynić się do rozwiązania tego zagadnienia wojny nowoczesnej aniżeli sama terapia /leczenie/. Długotrwałe zamknięcie w okręcie podwodnym, zgarbiona pozycja w czołgu, lot na znacznych wysokościach, wysiłek nerwowy pilotowania — wszystko to wymaga ludzi silnych fizycznie i psychicznie. To też selekcja kandydatów do tych rodzajów broni powinna być bardziej surowa niż do innych służb. Specjalne instytuty *"The School of Aviation Medicine"* w Randolph Field, Texas i *"Navy's school"* w Pensacola, Florida, opracowały sposoby selekcji załóg, ponadto wychowały zastępy lekarzy i chirurgów — lotników, którzy wraz z załogą odbywają loty operacyjne ponad terenem nieprzyjacielskim, a to celem zapoznania się z tymi szczególnymi zaburzeniami fizycznymi i nerwowo-psychicznymi, z którymi boryka się większość lotników.

Brak tlenu i aeroembolizm były znanymi jeszcze przed wojną zjawiskami w czasie lotów na znacznych wysokościach. Lot wysokościowy jest daleko niebezpieczniejszy dla pilotów zaangażowanych w walce powietrznej, aniżeli dla pilotów przeprowadzających próby nowymi typami samolotów, gdyż lotnicy w czasie walki nie są w stanie zachować należytej ostrożności, jak zapewnienie dopływu tlenu dla zmniejszenia niebezpieczeństwa aeroembolizmu, nie są wyekwipowani w specjalne kostiumy chroniące ich przed ciśnieniem i t.p. Surowa selekcja, wykluczająca lotników znoszących tylko lot niski od lotów wysokościowych — jest jedyną odpowiedzią na te problemy.



Plazma krwi w "opakowaniu bojowym"

Najpoważniejszą "chorobą" lotniczą na wojnie jest zmęczenie lotnika bez względu na funkcje, jakie pełni w samolocie. Zmęczenie pilota zdefiniowano jako "wygodne określenie pewnego zjawiska, którego istota nie jest znana i jasno zrozumiała, nie mniej jest realna". Rozpięcie tych objawów jest bardzo szerokie, od zwykłego zmęczenia fizycznego, które może być wyleczone dobrym snem, aż do poważnych zaburzeń psychicznych na całe życie.

W warunkach idealnych lotnicy pozostają pod troskliwą opieką lekarską i w wypadkach, gdy lotnik zdradza ślady nerwowości, zmęczenia lub strachu, nie dopuszcza się go do lotu. Lecz tego rodzaju warunki rzadko kiedy zachodzą na froncie i przemęczone załogi niejednokrotnie przez wiele dni walczą bez koniecznego odpoczynku. Reakcja nerwowa występująca zazwyczaj jako przemęczenie, zespół wysiłkowy lub apatia są następstwem stłumienia w czasie służby, normalnie istniejącego u każdego człowieka uczucia strachu. Objawami tego są niepokój, psychiczne zaburzenia, depresja, łagodna hipochondria, które jednak odbierają lotnikowi ochotę do następnych lotów, a czasem czynią go całkowicie niezdolnym do służby w lotnictwie.

Major John Murray, psychiatra armii amerykańskiej twierdzi, że rozmiary zmęczenia jako choroby zmalałyby znacznie, gdyby każdy lotnik miał ściśle określony czas udziału w lotach bojowych. Ponadto proponuje on urządzenie obozów wypoczynkowych dość daleko od strefy operacyjnej, aby lotnicy byli wolni od napięcia nerwowego i niebezpieczeństwa, jednak nie zbyt daleko, aby lotnik nie miał wrażenia, iż ewakuowano go albowiem załamałby się duchowo. Ostatnio metody majora Murraya stosuje się w lotnictwie Sprzymierzonych. Szybkie rozpoznania zaburzeń nerwowo-psychicznych i należyte leczenie w obozach wypoczynkowych przywraca lotników, lotnictwu.

Zaburzenia psychiczne — to dalsze zjawiska, z którymi spotyka się lekarz na wojnie. Osobników z tymi objawami określano dawniej jako chorych "na serce". Dzisiaj to bardzo często dyspepsja, występująca jako ostra niestrawność, w formie wrzodów i t.p. Z tym zjawiskiem spotykają się lekarze głównie wśród wojsk przebywających zbyt długo w bezczynności. Najwyższy odsetek dyspepsji wykazuje armia szwajcarska, a była ona do niedawna najczęstszą chorobą wśród żołnierzy brytyjskich w W. Brytanii.

Świadomy lub podświadomy strach przed śmiercią, kalectwem lub bólem może wywołać nawet u normalnego osobnika załamanie się nerwowe. Upadek jest nieprzewidziany i nie uniknione — lecz zazwyczaj uleczalny. Jednak w bardzo wielu wypadkach nerwowo-psychicznych, obserwowanych wśród żołnierzy — pacjent był "predystynowany", t.z. że był od urodzenia nerwowy, względnie psychopatyczny. Nigdy nie powinien był być zaciągnięty do służby wojskowej. Dobry psychiatra, któryby miał czas dla zbadania poborowego i znał jego przeszłość, prawdopodobnie nie uznałby go zdolnym do wojska.

W czasie ostatniej wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu, 97.577 żołnierzy amerykańskich skierowano do szpitali na oddział dla nerwowo chorych. 30.000 przebywa tam jeszcze do dnia dzisiejszego. Opieka i emerytury dla tych nerwowo chorych b. żołnierzy, kosztowały dotychczas Stany Zjednoczone najmniej miliard dolarów, straty zaś w pracy ludzkiej nieobliczalne. Stan wypadków nerwowo-psychicznych w pierwszej Wojnie Światowej podniósł się z 14 z początkiem wojny do 44 na 1000 ludzi pod koniec. W obecnej wojnie stan ten wynosi 27 na 1000 i stale wzrasta. Choroby nerwowe zajmują trzecie miejsce — po ranach i malarii — na liście strat wojennych.

WACŁAW SZPERBER

---

* Por. nr. 21 "Polski Walczącej" z b.r.

Bez blackoutu

Nasze myśli żołnierskie biegną od kilku tygodni do naszych kolegów walczących we Włoszech. To nie jest tylko zwykłe stwierdzenie faktu, to jest głęboka, uczuciowa prawda. Żołnierz polski w Wielkiej Brytanii na przekór opinii pewnych, bardzo niepewnych osób, tęskni od dawna do walki, rwie się do akcji bojowej. Na wieść o rozpoczęciu ataku przez II. Korpus Polski ramię w ramię z Brytyjczykami, Amerykanami i Francuzami w obozach Wojska Polskiego w Szkocji i Anglii—łowiono każdy komunikat radiowy, wyczytywano od deski do deski wszystkie gazety, mówiono między sobą tylko o tym. Często w ciągu dnia, podczas zajęć zadawano sobie pytanie: — "Co tam teraz z naszymi we Włoszech?". Gdy przyszły dni akcji w masywie Albanetta uświadomiliśmy sobie ogrom trudności odcinka wyznaczonego Polakom do sforsowania. Opinia rzeczoznawców i korespondentów wojennych o tym zadaniu na kilka dni przed atakiem nie była tajona:

"Monte Cassino zdobyć można jedynie szturmem, fantastycznym wysiłkiem szaleńczo odważnych żołnierzy, którzy pod ogniem nieprzyjaciela pokonają 600 metrów wzniesienia".

My tutaj, w Wielkiej Brytanii, naprawdę w tym dniu byliśmy sercem i myślą z Wami, Drodzy Koledzy z II. Korpusu. Gdybyście mogli odtworzyć sobie nastrój tego dnia w Szkocji, dnia Waszego szturmu i zwycięstwa, uwierzylibyście jeszcze mocniej w łączność polskich serc, w łączność żołnierskich myśli.

W tym dniu znalazłem się właśnie z "Lwowską Falą" w Brygadzie Spadochronowej i na własne oczy widziałem, jak bardzo szczęśliwi byli nasi "paraszutyści" i z jaką dumą obnosili Wasze zwycięstwo, widziałem, jak inaczej Brytyjczycy witali naszywkę "Poland" na naszych ramionach, jak na ulicy małej mieściny Szkoci serdecznie ściskali ręce polskim spadochroniarzom, gratulując sukcesu polskiego we Włoszech.

Obserwując ludzi, nie poznawałem nawet najbliższych. Ten odgłos strzałów polskich pod Monte Cassino, ten historyczny szturm i zwycięstwo okupione drogo krwią polską, podziałały jak zbawienny deszcz, który przychodzi po suchej, naładowanej elektrycznością burzy i pada na spragnioną, spękaną glebę. Targały nami różne wichry w ostatnich czasach, zatruwały nam atmosferę podejrzane opary, biły w nas gromy wielkie i małe z niespodziewanych stron i nigdy jeszcze tak duszno, tak ciężko nam nie było, jak przed tym Waszym szturmem. Nigdy. Więc wolno i trzeba powiedzieć, że to był nie tylko wielki sukces wojskowy, ale przełom duchowy w całej Armii Polskiej. Monte Cassino urosło w ten sposób do roli symbolu. Tam przełamano nie tylko pozycje wroga, ale również rozwalono, skruszono w pył mur kłamstw i oszczerstw, które przeciw tej armii, przeciw tym właśnie żołnierzom II. Korpusu Polskiego wznoszono perfidnie zatruwając atmosferę, nastrój przygotowania i pogotowia w Iraku, Afryce, we Włoszech.

Dokładnie rok temu nie kto inny, lecz właśnie "Wolna Polska" zamieściła w numerze 8-ym niegodziwy, oszczerczy felieton Jadwigi Kłosowej p.t. "Polska Odyssea". W tym to felietonie, który był napaścią na artykuł pod tym samym tytułem, zamieszczony we "Free Europe" — zapytywała owa Kłosowa dzisiejszych bohaterów spod Monte Cassino:

" . . . Dlaczego to Polacy postanowili, że najkrótsza droga ze Związku Radzieckiego /gdy znużony wojną człowiek zechce wrócić do rodzinnej Warszawy, Płocka czy wreszcie Rypina/ musi omijać najprostszą trasę n.p. Mińsk, Kijów czy Wielkie Łuki? Dlaczego dla nich właśnie droga najkrótsza wiedzie przez Palestynę, Afrykę, Meksyk, a może w niedalekiej przyszłości i przez Australię?"

Wytrzymajcie Koledzy i czytajcie dalej:

" . . . Poczciwi i gościnni Afrykanie nie pytali się nawet, dlaczego właściwie Polacy do nich właśnie wybrali się na przeczekanie wojny".

Sic!

W dalszym ciągu owego cynicznego felietonu wyśmiewa Kłosowa ustęp artykułu sprawozdawcy angielskiego, opisującego wizytę, którą złożył w towarzystwie generała Andersa Polskiej Armii stacjonującej wówczas w Iraku. Żołnierze polscy zrobili na Angliku ogromne wrażenie. Był wszędzie, widział bardzo dużo, zachwycał się polskimi pieśniami; specjalnie przypadły mu do gustu piosenki Lwowa, wykonane przez żołnierzy Dywizji Kresowej, rodowitych Lwowiaków. Autor angielski stwierdził już wtedy gotowość i zapał tych żołnierzy. Generał Anders powiedział wówczas gościowi, że dwie cechy Polaków to duch patriotyczny i religijność. Anglik dodaje od siebie:

"Sądzę, że obie te cechy są doskonałe dla żołnierza".

Oczywiście Kłosowa cały ten ustęp interpretuje jadowicie tak pisząc:

" . . . Do defilady Lwowian na piaskach pustyni wystarczą te cechy. Do walki o wolność Lwowa trzeba by jeszcze czegoś więcej. Kto wie na co więc czeka ta "lwowska armia". rzucona tak daleko od frontu walki, do której "jest gotowa" i to na ostatni guzik?"

Kłosowa kończy:

" . . . Zobaczymy, co życie przyniesie. To nowe, afrykańskie życie Polaków, przeczekujących wojnę tak straszliwie daleko od skrwawionej ich, wspaniale walczącej Ojczyzny".

Dzisiaj z uzasadnioną pogardą odpowiadamy w Waszym imieniu, Koledzy z II. Korpusu tej "Wolnej Polsce" z roku 1943.

Kłosowa! Nie bądźcie dzieckiem, nie chowajcie się, patrzcie nam prosto w oczy i słuchajcie, uważnie słuchajcie, co powiemy: najkrótsza droga trwa czasem długo, gdy "znużony wojną człowiek" chce wrócić nie tylko do rodzinnego Rypina, ale do rodzinnego Wilna, Lwowa, czy Tarnopola. Wtedy wybiera się nie najkrótszą, ale najpewniejszą drogę wśród niedostępnych skał, choćby była długa i szła nawet przez . . . Australię.

Polacy "wybrali się" nie za prędko do Afryki i nie na przeczekanie. Natomiast wy, Kłosowa, wybraliście się stanowczo przedwcześnie z waszym felietonem. Trzeba było przeczekać. Akurat rok. Tyle właśnie, ile trwało pogotowie Polaków w Afryce i oczekiwanie na rozkazy. O, wy chyba wiecie, Kłosowa, co to jest rozkaz. Trudne jest czekanie na rozkaz, ale jeszcze trudniejsze pisanie na rozkaz.

Czemuż to, "Wolna Polsko", i was, nieostrożna felietonistko, bolały tak bardzo te piosenki lwowskie? Sprawię wam przykrość. Słyszycie? Znowu śpiewa te pieśni dzisiaj Kresowa Dywizja Lwowiaków, Wołyniaków, Podolaków tam na szczycie Monte Cassino, śpiewa patrząc na powiewający w górze, obok brytyjskiego Union Jack sztandar biało-czerwony.

Czy do walki o wolność Lwowa trzeba jeszcze czegoś więcej? Odwaga, wytrzymałość, szturm na bagnety, 27 godzin bez przerwy w ogniu nieprzyjacielskim. Czy za mało? Przecież cały świat pisze w tych dniach i roznosi na falach eteru:

" . . . Wspaniały manerw oskrzydlający, który spowodował zdobycie Cassino, udał się dzięki natarciu wojsk polskich — najlepszych żołnierzy, jakich wydała obecna wojna" /*Komentator radiowy amerykański Raymond Graham Swing*/.

" . . . Nie można sobie wyobrazić czym musiała być walka w takim terenie przy niemieckich gniazdach kaemów i bunkrach, rozsianych co kilka yardów. Wydaje się rzeczą nie do wiary, że w takich warunkach Polacy byli w ogóle w stanie wyprzeć Niemców" /*korespondent wojenny "Daily Herald"*/.

Pytaliście się Kłosowa: "Kto wie na co czeka ta lwowska armia, rzucona tak daleko od frontu?" Teraz już wiecie? Na to czekała! Widzicie, co "życie przyniosło" i w jaki to sposób "przeczekują" Polacy wojnę daleko od walczącej Ojczyzny. Czytamy dziś w dziennikach:

"Żołnierze polscy nazwali ścieżkę, prowadzącą na szczyt Monte Cassino a w wielu miejscach pokrwawioną: "Drogą Poległych".

Taka jest nasza droga do Lwowa — "Wolna Polsko". Jesteśmy jednak pewni, że życie przyniesie nam jeszcze wiele takich dni chwały i triumfu prawdy, że II. Korpus /który, jak pisałem niedawno, tak bardzo ciągle kogoś boli/ pójdzie dalej, choćby najtrudniejszą drogą, ale do celu w zasłużonej sławie z lwowską piosenką na ustach, że nasza "tutejsza" I. Dywizja Pancerno-Motorowa /której plugawe wersje też nie omijają/ ruszy z Brytyjczykami i Amerykanami najkrótszą drogą, może nawet na przełaj do tego samego celu, że pójdą polscy spadochroniarze, którzy tak bardzo onegdaj cieszyli się zwycięstwem pod Cassino, że polecą polscy lotnicy, jak latają co dzień i co noc, że zmieni kurs na Gdynię Polska Marynarka Wojenna i Flota Handlowa. A wtedy . . . scześnie w pogardzie i w kpinach żołnierskich jadowity, niegdyś wrogi nam cynizm, à la madame Kłosowa. W pamięci pozostanie ten wielki dzień szturmu wzgórza klasztornego a w uszach brzmieć będą słowa dowódców brytyjskich.

"Nastał dzień pełen dumy dla Polski. Salutuję sztandar polski, który dumnie powiewa na fortecy klasztornej" /Gen. Alexander do Polaków/.

"This is a great day in Polish history" /Gen. Leese, dowódca VIII. Armii Brytyjskiej do gen. Andersa/.

Na ten dzień czekali żołnierze II. Korpusu. Dzień po dniu odwalać będzie żołnierz polski kamienie z muru kłamstw i oszczerstw, który usiłowano wznieść dokoła Armii Polskiej.

Polska Odyssea trwa.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Przed inwazją Europy

Kiedy będzie inwazja Europy? Jest to może najważniejsze pytanie dnia dzisiejszego i niewątpliwie interesuje największą ilość ludzi na świecie; różni różnie komentują to zagadnienie, powstają zakłady i gorące dyskusje na ten temat.

Przeciętny śmiertelnik niewiele wie kiedy, gdzie i w jakich warunkach odbędzie się to wszystko. Ogólnie natomiast wiadomo, że dwie armie ustawiły się naprzeciw siebie, jedna we Francji, a druga na wyspach Wielkiej Brytanii. Zarówno jedna tak i druga są uzbrojone w stal i czekają na sygnał do walki. Dzieli je stosunkowo wąski pas zaledwie dwudziestu kilku mil, ale ten pas wody trzeba sforsować, a dalej i brzeg najeżony umocnieniami betonowymi i artylerią różnego rodzaju i kalibru.

Tymczasem lotnictwo Aliantów, korzystając ze swojej przewagi ilościowej i jakościowej i przywileju, którym jest łatwe przeskakiwanie kanału La Manche, wyprawia harce na bliskich i dalekich tyłach przeciwnika, niszczy jego przemysł, rujnuje miasta, pozbawiając mieszkańców domów i warunków bytu, łamie komunikację kolejową. Działanie to można by nazwać językiem nowoczesnej wojny — lotniczym przygotowaniem bombowym.

Jest to taka sama działalność lotnicza obecnie, jaką był w roku 1940/41 atak niemiecki na wyspy W. Brytanii, z tym, że siła atakujących samolotów alianckich, bombowych jak i myśliwskich, jest bez porównania większa; dotyczy to również powierzchni bombardowanej: jest ona o wiele większa, niż powierzchnia wysp W. Brytanii.

Cały szereg osób zadaje pytania sobie i innym: "Jeżeli lotnictwo niemieckie w roku 1940, atakując wyspy W. Brytanii z przewagą powietrzną nie okaleczyło tych wysp, to czy są obecnie jakiekolwiek widoki powodzenia po stronie Aliantów?" Pytanie zupełnie słuszne, nie trzeba jednak zapominać, że w tym wypadku lotnictwo alianckie odgrywa jedną tylko z ról, główną natomiast rolę odegra armia inwazyjna, której zadaniem jest sforsować Kanał, uchwycić teren i utrzymać go.

Zadaniem lotnictwa aliantów jest: 1/ przygotowanie bombowe inwazji armii lądowych, 2/ wsparcie właściwej inwazji, 3/ współpraca w rozbiciu i pokonaniu głównych sił przeciwnika na linii frontu, oraz dezorganizowanie tyłów przeciwnika dalszych i bliższych.

Pierwszy punkt — przygotowanie bombowe inwazji armii lądowych — jest rozpracowywany od września roku 1940, od chwili wygrania bitwy lotniczej o Wielką Brytanię przez Aliantów. Alianci nie mogli jednak wcześniej przystąpić do bombardowania niemieckiego przemysłu i miast na większą skalę, nawet w roku 1942, bowiem pojedyncze wyprawy bombowe nie mogły wówczas obejmować po 1.000 samolotów.

Jeszcze zeszłego roku, kiedy prasa rozpisywała się o wielkich atakach powietrznych lotnictwa amerykańskiego na Niemcy, największa wyprawa liczyła tylko 350 samolotów bombowych.

Opozycja niemieckiego lotnictwa myśliwskiego była wówczas stosunkowo duża. Już w roku 1942 Niemcy dysponowały 1.800 myśliwskimi samolotami jednosilnikowymi, czyli prawie dwa razy większą ilością, niż W. Brytania przy końcu 1940 roku.

W r. 1943 niemiecka produkcja myśliwskich samolotów jednosilnikowych wzrosła do 1.200 maszyn miesięcznie, co stanowi wzrost dwu i półkrotny w stosunku do roku poprzedniego.

Amerykańskie "latające fortece" były za słabo uzbrojone, ażeby zapuszczać się w głąb Niemiec bez osłony myśliwskiej. O osłonę było trudno, typ bowiem maszyn myśliwskich posiadał zasięg niedostateczny dla podobnych wypraw. Niemcy udoskonaliły przez ten czas sieć alarmową, wyprawy bombowe Aliantów, nabierające wysokości nad Anglią, były sygnalizowane natychmiast w Niemczech, co pozwalało na poderwanie niemieckich dywizjonów myśliwskich na czas.

Niemieckie lotnictwo myśliwskie zostało rozbudowane kosztem lotnictwa bombowego, a częściowo przez ściągnięcie jednostek myśliwskich z frontu rosyjskiego i śródziemnomorskiego.

Zdawało by się, że Aliantom nie pozostawało więc nic innego, jak ataki bombowe na fabryki produkujące samoloty myśliwskie.

Tymczasem w okresie od lata 1942 aż do wiosny 1943, lotnictwo amerykańskie bombardowało głównie ośrodki okrętów podwodnych na wybrzeżu niemieckim i francuskim. Wymagała tego ogólna sytuacja strategiczna. Jednocześnie RAF w tajemnicy rozbudowywał lotnictwo bombowe i z wiosną 1943 roku przystąpił do bombardowania Zagłębia Ruhry. Jesienią 1943 roku pogoda przyszła Niemcom z pomocą i w okresie między 14-tym października a 20-tym lutego Alianci dokonali tylko jednego nalotu na fabryki produkujące samoloty myśliwskie w Brunszwiku.

I kiedy znowu pogoda pozwoliła, natychmiast wzrosła ofensywa bombowa Aliantów na fabryki samolotów: w Regensberg, Stuttgart, Lipsk, Augsburg, Brunszwik, Oschersleben, Halberstadt, Steyr i Bernburg.

W bombardowaniach tych ponieśli Alianci dość duże straty, na skutek jednak tych bombardowań niemiecka producja jednosilnikowych samolotów spadła obecnie do 60%, zaś dwusilnikowych maszyn myśliwskich do 80%.

Od 20-go lutego 1944 roku Alianci są zdolni do wysyłania 2000 — 5000 bombowców w pojedynczych wyprawach przeciwko celom niemieckim. W związku z tym straty Aliantów w sprzęcie i personelu wzrosły i tak na przykład w okresie pomiędzy 20-tym lutego a 29-tym marca b.r.:

Amerykanie stracili 446 ciężkich bombowców, RAF stracił 268 ciężkich bombowców /straty tylko nad terytorium przeciwnika/.

W personelu latającym: Amerykanie stracili 4.460 ludzi, RAF stracił 2.200 ludzi.

Lecz w tym czasie zrzuconych zostało 59.000 ton bomb na terytorium niemieckie i tereny okupowane.

Role w bombardowaniu celów niemieckich zostały podzielone: lotnictwo amerykańskie bombarduje głównie w dzień metodą precyzyjności, a RAF z innymi Aliantami — głównie w nocy.

Wojna trwa już piąty rok, lecz Niemcy wydają się jeszcze dalekie od załamania się i niemiecka produkcja, chociaż silnie osłabiona, wciąż jeszcze jest zdolna do zaopatrywania swoich armii na frontach. Wydaje się, że od intensywności bombardowania przez Aliantów zależy czy i w jakim stopniu wytrąci się z rąk generałów niemieckich sprzęt, ekwipunek i zaopatrzenie.

Ważnym zadaniem dla lotnictwa alianckiego, tak strategicznego jak i taktycznego, jest wsparcie armii lądowych w momencie inwazji.

Z chwilą wylądowania wojsk własnych na kontynencie, lotnictwo alianckie będzie miało jako główne zadanie do wykonania — rozbijanie wojsk niemieckich, szczególnie koncentracji broni pancernej, robienie wyłomów na linii frontu dla ułatwienia dalszego ataku własnym oddziałom wojsk lądowych, atakowanie przesuwanych jednostek nieprzyjacielskich na bliższych i dalszych tyłach, oraz osłonę własnych sił lądowych przed atakiem z powietrza.

Powodzenie inwazji będzie zależało od przewagi w powietrzu, szczególnie w pierwszym jej momencie. Chodzi o to, ażeby nie dopuścić niemieckiego lotnictwa bombowego do zaatakowania transportów wojsk w portach, Kanale, oraz w momencie lądowania po przeciwnej stronie Kanału. Jednocześnie lotnictwo bombowe własne musi mieć swobodę działania w atakach na koncentracje wojsk lądowych niemieckich na wybrzeżu.

Wyrzucenie przeciwnika z powietrza i utrzymanie przewagi lotniczej da możność skierowania własnego uderzenia lotniczego tam, gdzie zajdzie tego największa potrzeba.

WITOLD A. URBANOWICZ

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE ARTYKUŁU
O KONSTYTUCJI 3-GO MAJA

Szanowny Panie Redaktorze!

Sądzę, że list podpisany pseudonimem "Konny Artylerzysta", zamieszczony w nr. 19-ym "Polski Walczącej" i przeprowadzający ostrą krytykę artykułu p. Karola Zbyszewskiego o Konstytucji 3-go Maja, jest dla tego autora wysoce krzywdzący. List ten bowiem błędnie obrazuje zarówno intencję, jak i myśl przewodnią artykułu p. Zbyszewskiego.

Pragnę jak najwyraźniej podkreślić, że całkowicie solidaryzuję się z zasadniczą myślą listu "Konnego Artylerzysty", którą jest stwierdzenie, że w obecnej sytuacji bardziej, niż kiedykolwiek nie wolno nam odstępować od zasady tak pięknie wyrażonej w "Weselu": "Ale świętości nie szargać, bo trza, aby święte były", lub w znanej apostrofie Asnyka do młodych: "Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy . . ." Również podzielam zdanie autora listu, że pojęcia brytyjskie i polskie na temat "z czego nie wolno żartować" silnie się różnią. Wiem również dobrze, że p. Zbyszewski zajmuje często stanowisko sceptyczno-ironiczne wobec pojęć czy osobistości, do których przygniatająca większość rodaków ustosunkowuje się zupełnie pozytywnie. Również nie mogę dostrzec żadnych wartości konstruktywnych w jakże arbitralnym obrazie Anglików, jaki nam narzuca "To i owo" i w zgoła za daleko sięgającym anglizowaniu naszego języka.

Nie mogę się jednak zgodzić, by artykuł p. Zbyszewskiego o Trzecim Maju był napisany w tym właśnie krytycznym, sceptyczno-ironicznym /tak rzekomo reprezentatywnym dla tego pisarza/ duchu. Przeciwnie. Określenie "zadyndały dzwony" nie było na pewno obliczone przez p. Zbyszewskiego na ośmieszenie bicia dzwonów kościelnych; przez wyrażenie się o królu: "wgramala się na tron" nie miał autor z pewnością zamiaru okazać braku szacunku dla osoby Stanisława Augusta, a tym mniej dla instytucji monarchy polskiego. Sądzę, że intencją tych zwrotów był natomiast jak najbardziej realistyczny, jak najbardziej odpowiadający rzeczywistości opis uchwalenia wielkiej Konstytucji.

I coś więcej. Opis ten głosi swym realizmem doniosłą prawdę, że wielkie, ba, wiekopomne wydarzenia dziejowe bynajmniej nie odbywają się w sposób "doskonały", rozsądny czy koturnowy, a właśnie nieraz przypadek odgrywa w nich dużą rolę, właśnie przy ich okazji widać często jaskrawo małostkowość ludzką. Tym nie mniej samo wydarzenie jest wielkie i słusznie czczone.

A to niedoskonałe tło, tak skrupulatnie w tym artykule nakreślone, jedynie lepiej pozwala nam zrozumieć, że nieraz pod powłoką małości i przeciętności dzieją się rzeczy wielkie. Sądzę, że jest to prawda, zawsze aktualna, która jakże jest pomocna, gdy zachodzi obawa zniechęcenia się pozorami.

Sądzę, że artykuł ten, należycie zrozumiany, posiada pozytywną wartość, gdy chodzi o tę ufność i otuchę, o której tak ładnie pisze "Konny Artylerzysta".

Henryk Tyszyński

Dla Polaków w Rosji: £10,923

P. Wacław Sikorski korespondent wojenny przy II. Korpusie Polskim we Włoszech przeznaczył nieprzyjęte honoraria w wysokości £10 za artykuły drukowane w "Polsce Walczącej" na Polaków w Rosji.

* * *

W załączeniu przesyłam na pomoc dla biednych polskich dzieci w Rosji od żołnierzy VIII. Kursu Mechaników samochodowych £3.4.0 /słownie trzy £, cztery sh./ w związku z ukończeniem kursu.

Badyński £1, Nawrocki sh.10, Stepniewski sh.10, Tymiński sh.5, Jakubas 2/6, Zareba 2/6, Rekke 2/-, Pietroszek 2/-, Smok 2/-, Dumanowski 2/-, Siuchnicki 2/-, Narolski 2/-, Kubaszewski 2/-.

Oficer Opieki C.W.Sap.
por. Bad.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £13.4.0 /słownie: trzynaście funtów, cztery szylingi/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,923.10.9 /słownie: dziesięć tysięcy dziewięćset dwadzieścia trzy funty, dziesięć szylingów i dziewięć pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Panie Redaktorze,

Miss Mary Anderson, 29 Shanks Ave., Denny, wpłaciła kwotę £2 /two Pounds/ z przeznaczeniem na "Polish Children's Rescue Fund".

Załączam Money Order na w/wym. kwotę z prośbą o przekazanie jej na ten cel.

Oficer Opieki P/15

* * *

Redakcja "Polska Walcząca",

Oficerowie i szeregowi "O.P.O." składają na fundusz sierot po poległych żołnierzach kwotę £8.

W załączeniu: "Money Order" na kwotę £7 sh.16 d.6 oraz "Postal Order" na kwotę sh.3 d.6.

Komendant Ośrodka Prac. Okupac.
pułkownik Sw.

Sumę £10 /słownie: funtów dziesięć/ przesłaliśmy do Polish Children Rescue Fund.

W roku bieżącym za pośrednictwem "Polski Walczącej" zebrano na ten cel £542.13.0 /słownie: pięćset czterdzieści dwa funty, trzynaście szylingów/.

NA DAR NARODOWY

Wielce szanowny Panie Redaktorze,

Przy niniejszym przesyłam Postal Order na kwotę £9.10.0, którą załoga O.R.P. "Burza" zebrała na "Dar Narodowy 3-go Maja".

Dowódca O.R.P. "Burza"

* * *

Na Dar Narodowy sh.3.

Bezimiennie

* * *

Proszę o przyjęcie na "Dar Narodowy 3 Maja" kwoty £4.10.0 — cztery funty, dziesięć szylingów — zebranej wśród żołnierzy . . . Kolumny Samochodów Sanitarnych.

J. Pog . . .
p.o. Oficera Opieki Oddziału

Zbiórka książek

Dla Armii Polskiej na Wschodzie; 2/ książki; "La France Libre" i "London News".

J. Pinińska

* * *

Bezimiennie przesłano nam: A. Słonimski: "Alarm", K. Wierzyński: "Ziemia-Wilczyca", S. Mackiewicz: "Po zgonie ś.p. gen. Sikorskiego", Eckersley: "Essential English" i "An every-day English", M. Pawlikowska: "Róża i lasy płonące", K. Leskowiec: "Polska po wojnie", S. Wyspiański: "Wesele", 2 zeszyty "Nowej Polski", 2 zeszyty "Wojskowy słownik angielsko-polski", i 7 broszur.

* * *

Proszę o przekazanie tych książek tam gdzie mogą być użyteczne.

L.G.

Załączone: "Pomniki literatury ojczystej" /5 zeszytów/, J. Niemiec: "Wiadomości z fizyki i chemii", J. H. Fassett: "Book four", "The elements of Plane Trigonometry" "The Elements of Analitical Geometry" i 2 modlitewniki.

* * *

P. St. Bergender przesłał 26 zeszytów "Bellony".

* * *

Bezimiennie przesłano nam: 25 skryptów naukowych, G. Seton: "The Governor of Kattowitz", "Pomniki literatury ojczystej" /6 egz./, L. Łagniewski: "Wrzesień w Polsce", "Jednodniówka" /2 egz./, "Ustawa konstytucyjna", "Ekonomista polski", "Poradnik dla pracowników świetlic żołnierskich", "Myśl lotnicza", i 17 broszur.

* * *

W załączeniu przesyłam 6 broszurek z prośbą o przekazanie tam gdzie panowie uznają za właściwe.

X.Y.

Na "paczki od serca": £3,120

Do Redakcji "Polska Walcząca",

Przesyłam £12 sh.6 zebrane ofiary wśród pacjentów Szpitala Gallowhill Hall na jeńców wojennych w Niemczech. Ofiary powyższe zebrałem za nadesłane przez księdza F. Mientkiego 16 książeczek do modlitwy.

Z poważaniem

Łobazo Jan

* * *

Szanowna Redakcjo,

Przesyłamy kwotę £1 na pomoc dla jeńców polskich w Niemczech.

spadochroniarze M.D. i M.N.

* * *

N.N. na paczkę od serca według załączonego adresu sh.9.3.

NA PACZKI DLA JEŃCÓW PRZEZ P.C.K.

Redakcja "Polski Walczącej",

Przesyłam stawkę nierozstrzygniętego zakładu w wysokości £1.11.0 /£ jeden, szyl. jedenaście/ na przesłanie przez P.C.K. paczek papierosowych dla Jeńców-Saperów przebywających w obozach niemieckich.

J. O. Bożenko

Czołówka Teatralna
"LWOWSKA FALA"
wystąpi w EDYNBURGU dwa razy z programem p.t.
"PIĄTY FRONT"
w dniach 2 czerwca /piątek/ i 4 czerwca /niedziela/ 1944.
w St. Columbia Catholic Church Hall, 13, Upper Grey Street /boczna Salisbury Place/
Początek przedstawień o godzinie 6.30 wieczorem
Dojazd tramwajami: 1, 3, 5, 6, 7, 8, 17.
Bilety wcześniej do nabycia w Księgarni Kolin 31A, Castle Street, Edinburgh.

Szanowna Redakcjo,

Przesyłam Money Order na 10 szyl. na "paczki od serca" — zamiast kwiatów na Wandzine urodziny.

Str. Dragon

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £4.5.3 /słownie: cztery funty, pięć szylingów i trzy pensy/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,120.8.1 /słownie: trzy tysiące sto dwadzieścia funtów, osiem szylingów i jeden pens/, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

Koło Opieki nad Żołnierzem w Wielkiej Brytanii, chcąc przyjść z pomocą żołnierzom, którzy złożyli swe rzeczy osobiste u rodzin brytyjskich przed utworzeniem przechowalni P.C.K., otwiera kartotekę adresów brytyjskich u których zostały złożone bagaże, celem ewentualnego wyszukania i powiadomienia rodzin zainteresowanych żołnierzy po wojnie w Kraju.

Koło Opieki nad Żołnierzem w Wielkiej Brytanii wzywa wszystkich żołnierzy w interesie ich rodzin o podawanie danych według następujących wzorów.

Dane personalne żołnierza. Stopień wojskowy, nazwisko i imię, data i miejsce urodzenia, imiona rodziców, adres wojskowy. **Uwaga:** zmiany adresów winny być przesyłane do Koła.

Adres gdzie zostały złożone rzeczy. Nazwisko i imię, dokładny adres pocztowy /z wymienieniem Anglia czy Szkocja/, dojazd koleją czy autobusem, nazwa stacji.

Adres kogo poinformować w Kraju. Imię i nazwisko danej osoby, ewentualnie dwu osób z wymienieniem imion rodziców. Stały adres w Kraju oraz adres według ostatniej wiadomości.

ZARZĄD KOŁA OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM W WIELKIEJ BRYTANII.
7, Greenhill Gardens, Edinburgh.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

W BERLINIE



Dwie ruiny . . .

PODSŁUCHANE

—Wie pan, ale gen. Alexander otrzymał wspaniałe odznaczenie.

—O tak, order łaźni i to łaźni rzymskiej. Zasłużył sobie.

ROZMOWA W BARZE

—John, więc twierdzisz, że za 10 dni nastąpi inwazja?

—Tak, mogę się założyć o "doubla"!

—A jak będzie zła pogoda?

—To otwarcie zrobimy nawet w "Albert Hallu"! . . .

KRUCZEK ADWOKACKI

Anglik do Amerykanina: — Ci Polacy to niemożliwi ludzie! Namówili króla Emanuela, ażeby abdykował dopiero wtedy, gdy Alianci zdobędą "karczmę Rzym" — Twardowskiego . . .

W BRYGADZIE KARPACKIEJ

Kapral Zielonka: — Panie kapitanie, ale Anglicy nam nie zrobią świństwa i "Frascati" pod Rzymem to nam, Warszawiakom, dadzą zdobyć!?!

BIALI FASZYŚCI

Goebbels: — Niech cały świat teraz się dowie, że największymi faszystami są Anglicy!

—Dlaczego?

—Robią pochód na Rzym!

ORDER PARÓWKI

—Ta Szczepciu, czy ty słyszał, że generał Anders otrzymał "order parówki" za to, że bataliony lwowski zdobyli cytadeli w Cassino?

—Idź ty durny Tońciu, ta że un dostał order łaźni, a ni parówki!

—Wszystko jednu, ale za taką harówkę, to mu si gibiruje order parówki! . . .

WSYPA

—Czy czyta pan prasowy biuletyn "Światpolu"?

—O tak, codziennie kupuję!

—Kiedy ten biuletyn wychodzi co dwa tygodnie! . . .

MÓWIĄ . . .

Podobno kolorowe oddziały francuskie, które tak dzielnie walczą we Włoszech, mają zmienić hasła na sztandarach, na: "Liberté, Fraternité, SENEGAL-ité".

W SZKOLE WŁOSKIEJ

—Powiedz mi, Petro — pyta nauczyciel — co to jest wojna?

—Przesuwanie w tył swoich pozycyj, panie profesorze!

* * *

Na godzinie "światopoglądowej" nauczyciel stara się wytłómaczyć dzieciom powód wojny.

—Mamy strasznego wroga, który chce nam ukraść kolonie i surowce. Chce nas pozbawić żywności i żelaza. Chce zawładnąć naszym morzem i naszą ziemią. Tylko czeka sposobności, aby podstępnie ugodzić nas nożem w plecy . . . Kto wie jak się nazywa ten wróg?

—???

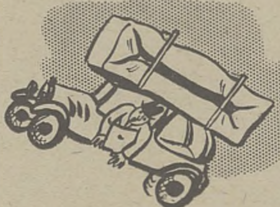
Nauczyciel chce naprowadzić dzieci na odpowiedź:

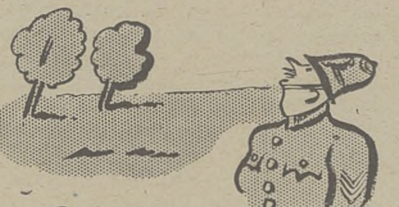
—Ten wróg zaczyna się na "A". Kto zgadnie: A . . . ?

—Adolf Hitler, panie profesorze — krzyczą chórem dzieci.

/z prasy podziemnej/

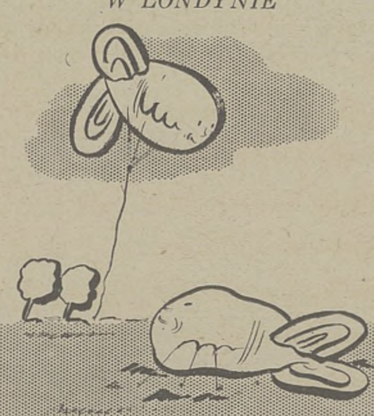
W DOBIE OSZCZĘDZANIA BENZYNY





Kierowca samochodu: — Ratunku! Ratunku!!! Przez pomyłkę napełnili mi zbiornik wodorem!

W LONDYNIE



—Co pan się urwał?! Wstawaj pan!

—Kiedy już mi się nie chce bujać Londyńczyków! . . .

POZDROWIENIE PRZED INWAZJĄ!

—Niech ci woda ciepłą będzie! . . .

ZNAWCZYNI WOJSKA

—Wie pani, że Misio został podporucznikiem?

—Owszem, słyszałam, że został podporucznikiem czasu "Rubensa"...

OBIECANKA — CACANKA!

Mussolini do Hitlera: — Adolfie, zwolnij mnie a zobaczysz, że na klęczkach pójdę do Rzymu . . .

O GEN. ALEXANDRZE MÓWIĄ:

. . . Alexander ante portas— Rzymu.

WYJAŚNIŁ

—Feluś, wiesz dlaczego nasi poszli zdobywać Cassino?

—???

—Ponieważ protestanci nie mogli . . .

NIEPOROZUMIENIE

Na balu lotniczym w Polsce, tańczył jeden z generałów z uroczą damą. Tuż pod ścianą uplasował się pewien dowódca pułku lotniczego, z lekka podlany. Co generał minie pułkownika, ten uderza go w pewną część ciała.

Po piątym nawrocie, generałowi znudziły się płoche żarty. Odprowadził damę, po czym zwrócił się do śmiałka:

—Panie pułkowniku, wypraszam sobie takie żarty!

—Najmocniej przepraszam pana generała. Stałą się pomyłka. Ja byłem przekonany, że klepię pańską tancerkę! . . .

GDZIE JEST KARTA ATLANTYCKA?

Marzyciel: Ciekaw jestem, gdzie przechowywany jest oryginał "Karty Atlantyckiej", w Ameryce czy w Anglii?

Realista: Zdaje mi się, niestety, że "Karta Atlantycka" utonęła w Czerwonym Morzu . . .

Marzyciel: No, to jeszcze nic straconego! Może być przecież nowy cud że wywiezieni Polacy będą wracać wolni z Syberii "suchą nogą" przez Czerwone Morze i znajdą ten historyczny dokument na dnie. *R.*

NAD KANAŁEM



—Wychodźmy z wody! Jeszcze nas wezmą za stare pływające pudła i storpedują! . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

P. ERNEST PRZEMYSŁAW TILL ma wiadomość o swoich najbliższych w redakcji "Polski Walczącej".

* * *

P. MARCINKOWSKI STEFAN ma wiadomość w redakcji "Polski Walczącej".

SPIS RZECZY:

W dniu Święta Pułkowego 36. p.p. L.A. to jest 3 czerwca odbędzie się Nabożeństwo Żałobne za spokój dusz ś.p. Kolegów Oficerów, Podoficerów i Strzelców 36. p.p. L.A. w kościołach:

W Londynie w kościele Garnizonowym Palace Str. obok Rubensa o godz. 9.30,

w Edinburghu w kościele St. Anne Oratory przy ulicy Randolph Palace o godz. 10.30.

O czym zawiadamiają

DOWÓDCA, OFICEROWIE I SZEREGOWI PUŁKU

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.